



Rok XVI  
**25** (814)

CENA 1.50Zł

**24.6.73**



Patrz str. 9

# ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

PREZENTACJE

## Konrad Jazdzewski



Fot. J. Mendychowski

Archeologia — nauka o najdawniejszych dziejach ludzkości — łączy w sobie potrzebę dociekliwości badacza z umiejętnością poszukiwania właściwych detektywom. Jest to dziedzina wiedzy na równi pasjonująca tych, którzy zajmują się nią zawodowo, jak i laików uważnie śledzących wszelkie próby rozwiązywania najdawniejszych tajemnic.

— Czy archeologia nadal cieszy się popularnością wśród kandydatów na studia uniwersyteckie? — pytam profesora dr KONRADA JAZDZEWSKIEGO, dyrektora Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi, a do 1970 roku kierownika Katedry Archeologii Uniwersytetu Łódzkiego.

— Był czas, kiedy na jedno miejsce na archeologii przypadło 6 lub 7 kandydatów. Teraz jest ich trochę mniej. Mamy obecnie w Polsce już blisko 500 archeologów. Kiedy ja zacząłem studia, w 1926

roku, było zaledwie kilkunastu archeologów, przed wybuchem drugiej wojny światowej już kilkudziesięciu. Myślę, że atrakcyjność tej dziedziny nauki polega nie tylko na połączeniu jej romantyzmu z detektywizmem w najlepszym tego słowa rozumieniu, ale również i na tym, że archeolog przez połowę roku przebywa w terenie, że ma bezpośredni kontakt ze społeczeństwem i przyrodą, a także widzi społeczne zainteresowanie wynikami swoich poszukiwań.

— A dlaczego Pan wy-

brał akurat tę dziedzinę wiedzy?

— Od najmłodszych lat miałem pociąg do wszelkiej dawności. Jako młody chłopiec zwiedzałem muzea ówczesnego Petersburga i Berlina. Zbierałem też różne skamieniałości. Duży wpływ wywarła na mnie lektura „Starej Baśni” Józefa Krászewskiego,

a także opowiadania mojej matki o starym cmentarzu z jej rodzinnej Praszki w powiecie wieluńskim. Później już jako archeolog badałem to cmentarzysko kultury łużyckiej z początków epoki żelaza.

Miałem niespełna 16 lat, kiedy zetknąłem się z Dalszy ciąg na str. 6



TRIENNALE  
MALARSTWA  
i GRAFIKI

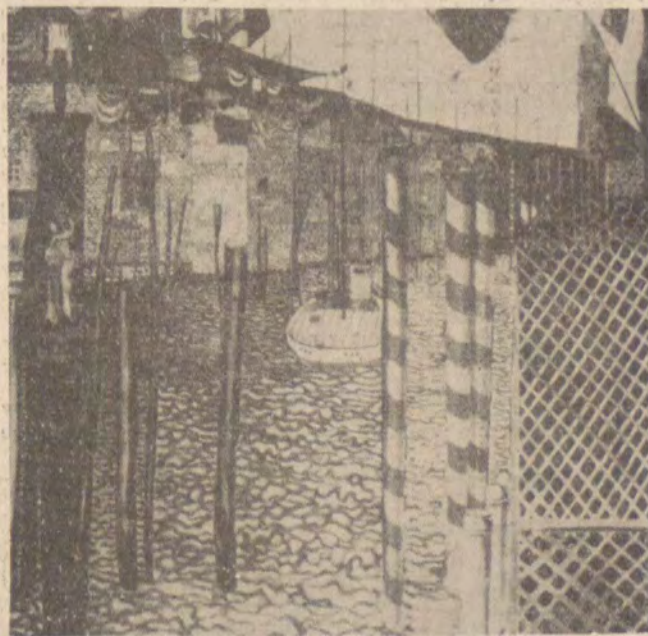
STEFAN KUBICKI

Ptaki jeszcze śpiewają...

ANDRZEJ GRUN

Czy spacer somnambuliczny?

Patrz str. 3



JERZY KRAWCZYK — olej

W najbliższych numerach:

♦ WŁODZIMIERZ LUSZCZYKIEWICZ — „Mistrza Garstki życiorys niebanalny”

♦ EWA NURCZYŃSKA — „Co roku w czerwcu”

♦ ANDRZEJ F. GRABSKI — „Piotr Ściegienny na nowo odkryty”.

♦ KONRAD FREJDLICH — „Sezon jakich wiele”

♦ RYSZARD BINKOWSKI — „Nie ma silnych na Włazłaka”

♦ JÓZEF H. SZARGAN — „Gałązka bzu w słoiku po kiszonych ogórkach”

## OPOWIEŚCI EKSPERTA:

W dwu poprzednich odcinkach o fałszerstwach znaczków snułem opowieści niejako z drugiej ręki. Cytowałem bogato arcyciekawe książki Grossa, Gryźewskiego, Wierzbowskiej, Piwowarczyka i Perzyńskiego. Nie ustrzegłem się zresztą drobnych uproszczeń pisząc na przykład, że fałszerstwami nie zajmują się badacze filatelistyki.

Pierwsze słowa, jakimi powitał mnie mieszkający w Łodzi ekspert, inż. CZESŁAW DANOWSKI, brzmiały:

— Ależ proszę pana, fałszerstwami nie zajmują się rzesze filatelistów, ale właśnie dla badaczy filatelistyki jest to sfera szczególnego zainteresowania.

Prawda, bo któż inny może stwierdzić autentyczność znaczka, jak nie badacz filatelistyki. Tu już nie wystarczy sama wiedza o poliografii — tu trzeba mieć w małym palcu wiedzę o filatelistyce. Dodajmy od razu — zastrzega się inż. Danowski — że w Łodzi działa bardzo liczne grono znako-

mitych znawców przedmiotów, autorów ciekawych i odkrywczych metod badania znaczków. Niektórzy mówią nawet o „łódzkiej szkole” badaczy, a łódzkie pismo fachowe „Biuletyn filatelistyczny” nieodmiennie zdobywa złote medale, na wystawach.

Zanim jednak zadzwięczy

dzwonek u drzwi mieszkania inż. Danowskiego, zanim zjawia się filateliści, aby szukać tu pomocy, porady fachowej, oceny znaczka pod kątem jego autentyczności — posłuchajmy pasjonujących opowieści eksperta...

Dalszy ciąg na str. 4

# Zadania szkolnictwa łódzkiego na lata 1973-75

„DYNAMICZNY ROZWOJ I WSZECHSTRONNE DOSKONALENIE SYSTEMU OSWIATOWEGO JEST W OKRESIE REWOLUCJI NAUKOWO-TECHNICZNEJ NIEODZOWNYM CZYNNIEM PRZYSPIESZENIA ROZWOJU SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO I KULTURALNEGO”. Ta myśl była głównym akcentem obrad plenum Komitetu Łódzkiego w dniu 18 czerwca, które poświęcone zostały omówieniu zadań szkolnictwa w naszym mieście w latach 1973-75.

Wprowadzeniem do owocnej, wielogodzinnej dyskusji był referat wygłoszony przez sekretarza KL PZPR tow. Jerzego Chabelskiego, w którym została przedstawiona ocena sytuacji łódzkiego szkolnictwa i nakreślone zadania na najbliższe dwa lata, zadania z zakresu nauczania i wychowania.

Ten związek nauczania i wychowania został jednoznacznie podkreślony w referacie jak i w dyskusji, w której zabrano głos osiemnastu mówców. Zgodnie bowiem z

uchwałami VI Zjazdu PZPR problemy szkolnictwa i oświaty traktowane są całościowo i wszechstronnie. Przypomnijmy główne założenia i zadania jakie w tym zakresie będą realizowane w najbliższych latach:

— podniesienie jakości całego systemu oświatowego i wzrost roli pracy ideowo-wychowawczej w szkołach i innych placówkach oświatowych.

— tworzenie systemu kształcenia ustawicznego ludzi prac-

— zwiększenie sprawności kształcenia w szkołach wszystkich typów.

— dalsze, planowe rozwijanie sieci szkół przyzakładowych, oraz zasadniczych szkół zawodowych dla dorosłych.

— podniesienie kwalifikacji kadry nauczycielskiej do poziomu studiów wyższych.

— przygotowanie bazy materialnej szkół do zmiany systemu oświaty w Polsce Ludowej.

— rozwijanie sieci przed-szkoli, szkół osiedlowych, placówek wychowania pozaszkolnego.

— poprawienie bazy lokalowej zasadniczych szkół zawodowych, dokształcających, zakładów wychowawczych i domów dziecka.

Te wszystkie problemy zarówno w referacie jak i dyskusji znalazły konkretne potwierdzenie. Szukano odpowiedzi na pytanie: jaki ma być kształt i profil łódzkiego szkolnictwa zgodny z potrzebami gospodarki narodowej na kadry kwalifikowanych robotników, techników, pracowników umysłowych, u-

względniając sytuację demograficzną i potrzeby społeczne łódzkiego środowiska.

Wiele uwagi poświęcono zadaniom ilościowym i jakościowym, jakie stoją przed szkolnictwem, z uwzględnieniem specyficznej sytuacji Łodzi, miasta pracujących kobiet. Przypomniano tu, że w naszym mieście wychowaniem przedszkolnym objęte jest ok. 60 proc. dzieci, co stawia Łódź na pierwszym miejscu w kraju. Przedłużenie od nowego roku pracy świetlic do godz. 18 oraz zwiększenie ilości szkół całodziennych powinno tę sytuację jeszcze bardziej poprawić. I przyczynić się m. in. do zmniejszenia liczby niepromowanych uczniów, która nadal jest zbyt wysoka i wynosi 5,7-5,9 proc.

Wśród łódzkich nauczycieli i kadry kierowniczej duże zainteresowanie wzbudził eksperyment wychowawczy prof. Heliodora Muszyńskiego z Uniwersytetu Poznańskiego. Duże ożywienie i dyskusję wywołał opublikowany raport komitetu ekspertów o stanie oświaty. Wnioski z tych dy-

skusji niewątpliwie wzbogacą codzienną, praktyczną działalność łódzkich nauczycieli. Rozszerzą te formy działalności, które już zostały w pełni sprawdzone i przyniosły wiele osiągnięć. Wystarczy np. przypomnieć, że w ostatnich olimpiadach 40 łódzkich uczniów zajęło punktowane miejsca, w tym wiele czołowych lokat. Młodzież łódzka ofiarnie wspiera idee czynnych społecznych. Z planowanych 550 tys. drzew na 550-lecie Łodzi zasadzono już 300 tysięcy. W pracach nad sulejowskim zbiornikiem przeprowadzono ponad 16 tys. roboczogodzin. Warsztaty szkolne zwiększyły swą produkcję z 110 do 120 mln. zł, w tym produkcja wartości 8 mln. zł została zadeklarowana do „Banku 30 miliardów”.

Obok licznych pozytywnych przykładów i osiągnięć mówiono o brakach i słabościach w pracy łódzkiego szkolnictwa. O niezadowolającym stanie zdrowotnym młodzieży, braku boisk i sal gimnastycznych, brakach w sprzęcie i pomocach naukowych, nieza-

dawalającej współpracy szkół z rodzicami i zakładami opiekuńczymi. Wiele uwagi poświęcono kadrczynie nauczającej i kierowniczej wskazując na potrzeby dalszego kształcenia poprzez różne formy szkolenia.

Zabierając głos w czasie plenum tow. Cz. Banach, z-ca kierownika Wydziału Nauki KC PZPR i tow. J. Wolczyk, wiceminister Oświaty i Wychowania, pozytywnie ocenili stan przygotowań i nakreślone plany działania na najbliższe dwa lata.

Dokonując podsumowania dyskusji i sekretarz KL PZPR tow. Bolesław Koperski zwrócił przede wszystkim uwagę na rolę instancji partyjnych w szkołach, które winny zaktywizować swą działalność zgodnie z ustaleniami VII Plenum KC PZPR oraz programem działania przyjętym na XVII Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej.

J. ŻAK



W miejscowości, w której się urodziłem była Kredowa Góra. Rozkopano ją z dużym powodzeniem, a kredę wożono furmankami do wielkiej cementowni. Zawsze bardzo mnie interesowało, skąd wzięła się tam kreda. A że byłem wówczas małym chłop-

cem, więc pytałem o to czołowika o największym dla mnie autorytecie — moją babcię.

— Bo tu kiedyś — wyjaśniała cierpliwie moja babka — przed potopem było morze.

— I tu też? — pokazywa-

łem, a pamiętam byliśmy akurat na spacerze w parku.

— Też — twierdziła babcia, a ja myślałem, że ten piasek to również pozostałość przedpotopowego morza.

I to był mój pierwszy kontakt z morzem. Trochę później, już jako uczeń gimnazjum maszerowałem ulicami zupełnie innego miasta i spieszałem razem z innymi gimnazjalistami: „Morze, nasze morze będziem ciębie wiernie strzec”. Wprawdzie nigdy nie miałem okazji strzec naszego morza, ale inni robili to nader skutecznie. Wiadomo przecież, że Hel, odcięty od reszty walczącego kraju broni się najdłużej. I mam nadzieję, że nigdy ani ja, ani tym bardziej mój syn nie będzie musiał bronić naszego morza, bowiem nam wszystkim razem udało się tak postępować, aby mimo różnic politycznych i gospodarczych rozwiązywać różne konflikty w drodze pokojowej.

Jednak tyle wiedzieć o morzu, to zaiste mało. A kto z łzw, przeciwnych Polaków wie więcej? Co na ogół wiemy o morzu? I kiedy sobie o nim przypominamy? Po pierwsze

latem, kiedy z dworców południowej i środkowej Polski ruszamy na wakacje. Po drugie, kiedy zbliżają się Dni Morza. A właśnie będziemy je obchodzili, i wtedy przypominamy sobie, że Polska jest państwem morskim.

I jeszcze raz mamy okazję pomyśleć o naszym morzu, kiedy udajemy się do sklepów „Centrali Rybnej”, w celu nabycia jakiejś ryby morskiej, bądź puszki sardynki czy szprot w oliwie. I dość często wyrażamy się wtedy krytycznie o naszym rybolówstwie morskim, stwierdzając, że w końcu mamy przeszło 500 km wybrzeża morskiego, własne porty, flotę rybacką, kutry, statki chłodnie i przetwórnice, a w łódzkich sklepach świeżych morskich ryb dostać nie można, a czasem brakuje poszukiwanych konserw rybnych. Ot i wszystko.

Właśnie mamy Święto Morza. Puśćmy sobie włanki. (Ale proszę tego nie traktować jako aluzji do moralnego prowadzenia się naszej młodzieży). Posłuchamy różnych przemówień na temat tego, że jesteśmy państwem morskim i które to miejsce

zajmujemy pod względem tonażu, wyporności itp., a później o wszystkim dokładnie zapominamy, nawet wygrzając się w plażowym grajdołku w Sopocie, na Helu, w Świnoujściu, Ustroniu Morskim czy Kołobrzegu. Niektórzy zapomną o tym na plażach Czarnego Morza, jako że i do tego morza mamy ostatnio szeroki dostęp. A mnie się wydaje, że o morskich sprawach trzeba pamiętać przez rok cały.

Od bardzo dawna troszczyliśmy się wszyscy razem i wielu z osobną o ekonomiczną edukację narodu. Chodzi o wyrobienie określonego gospodarczego myślenia, o to, aby każdy rozumiał sens i znaczenie swojej codziennej pracy, aby potrafił zobaczyć ją w ogólnonarodowym wysiłku. Jednym z elementów takiego myślenia są sprawy handlu zagranicznego. Zaden współpracowni kraj nie może istnieć bez międzynarodowej wymiany i współpracy. Jednakże w naszym kształceniu społecznej świadomości sprawy wymiany handlowej traktowane są dość abstrakcyjnie. Jeśli eksport — to zaraz z kim handlujemy i

jakie osiągamy wskaźniki. Jeśli import — to co można znaleźć na sklepowych półkach. Ale jak handlujemy? O tym wiedzą już tylko specjalści. A tym, którzy wywołujemy swoje towary, interesuje się mało kto. A to przecież jest jeden z najważniejszych sprzężonych układów gospodarczy, w którym gospodarka morska odgrywa nieposłednią rolę.

Nie przypadkiem, jednym z najważniejszych zadań gospodarczych doby współczesnej stała się budowa Portu Południowego, rozbudowa Świnoujścia i sprzężonych z nim Portów. Dla mnie jasnym i oczywistym jest związek rozwoju gospodarki morskiej z rozwojem chemii, hutnictwa, elektroniki i przemysłu maszynowego. Ale ten układ wznawczych uwarunkowań powinien jasny i oczywisty stać się każdemu obywatelowi. PRL. I dlatego o sprawach morza trzeba mówić nie tylko w czerwcu. Postaram się i ja tak robić.

MARCIN RODAK

## Ze świata

Wydarzeniem tygodnia jest WIZYTA sekretarza generalnego KC KPZR — LEONIDA BREŻNIEWA W STANACH ZJEDNOCZONYCH. Prasa amerykańska poświęca rozmowom Breżniewa i Nixona, które trwać będą przez cały bieżący tydzień, wiele uwagi. Dla wyrażonych oczekiwań reprezentatywna jest opinia „New York Timesa”, który w przeddzień przyjazdu radzieckiego gościa pisal:

„Produkcyjna, długofalowa epoka radziecko-amerykańskiej współpracy jest niemożliwa bez wzajemnej szczerości. Jeśli rozmowy Nixon-Breżniew spowodują poważny nowy postęp w kierunku zarówno redukcji ciężaru zbrojeń, jak i w kierunku lepszych i bardziej korzystnych stosunków radziecko-amerykańskich, jak niedawno zapowiedział pan Nixon, Związek Radziecki i cały świat mogą tylko na tym zyskać”.

Pisaliśmy już na tym miejscu, że wielogodzinny dialog radziecko-amerykański obejmie wszystkie najważniejsze problemy światowe i stosunki dwustronne. Potwierdzeniem tych przypuszczeń — piszemy komentarz już po przylocie Leonida Breżniewa do USA, ale przed jego oficjalnym powitaniem, a więc i rozpoczęciem dialogu — jest skład towarzyszący mu osób. Fakt, że delegacja składa się m. in. z ministrów: spraw zagranicznych, handlu zagranicznego i lotnictwa cywilnego, jest wskazówką, jakie zagadnienia głównie podejmowane są w rozmowach. Cytowany już dziennik amerykański przewiduje, że w czasie wizyty podpisanych zostanie sześć porozumień, a w tej liczbie: dokument, określający dalsze wysiłki obu krajów w dziedzinie ograniczenia zbrojeń strategicznych, układ o badaniach oceanograficznych, o rozszerzonej współpracy w dziedzinie transportu, regulujący problemy podatkowe między obu krajami.

Tuż przed wizytą senat amerykański jednogłośnie zatwierdził Nixonowi, aby w czasie rozmów zabiegał o porozumienie w sprawie redukcji zbrojeń.

Dlatego też „Evening Star” przewiduje, że chociaż w toku wizyty nie zostanie podpisane żadne porozumienie

w kwestii redukcji zbrojeń — obecny szczyt będzie miał dla tego ważnego problemu zasadnicze znaczenie.

Niektóre dzienniki zachodnie przepowiadają, że doroczne spotkania radziecko-amerykańskie na szczycie staną się trwałą praktyką.

18 bm. rozpoczęła się również DRUGA WIZYTA — naszej delegacji partyjno-rządowej z udziałem Edwarda Gierka w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Oba kraje: Polskę i NRD łączą więzy ideowe, przynależność do socjalistycznej wspólnoty i rozwijające się dosłownie z każdym miesiącem stosunki gospodarcze i handlowe. W czasie berlińskich rozmów z pewnością dokona się rekapi-tulacji dotychczasowej współpracy i ustali kierunki jej dalszego zdynamiczowania.

Niemiecka Republika Demokratyczna ma swój wkład w europejskie odprężenie, wiele konstruktywnych elementów wniosła w przygotowanie europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy, która rozpocznie obrady 3 lipca w Helsinkach. Sprawie pokoju służy także złożony przed kilku dniami wniosek NRD o przyjęcie jej do Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Dni, poprzedzające przyjazd polskich przywódców do Berlina, wypełnione były szerokim informowaniem społeczeństwa NRD o naszych osiągnięciach i współpracy gospodarczej. Warto w tym miejscu podać, że w latach 1971-73 wzrost obrotów handlowych wynosił rocznie 12 proc. — wobec planowanych na bieżące pięcioletcie 4 proc. rocznie.

Innym wydarzeniem tygodnia było PODPISANIE W PARYŻU WSPÓLNEGO KOMUNIKATU przez cztery strony — sygnatariuszy porozumienia paryskiego w sprawie Wietnamu — o realizacji przyjętych wzajemnie zobowiązań. Komunikat informuje o nowych uzgodnieniach. I tak np. Stany Zjednoczone zobowiązały się natychmiast zaniechać lotów zwiadowczych nad terytorium DRW, wznowić usuwanie min tak, aby w ciągu 30 dni operacja ta została zakończona, obie zaś strony południowietnamskie uzgodniły wydanie identycznego rozkazu swym oddziałom o ścisłym przestrzeganiu zawieszenia ognia na całym terytorium kraju. Temu ostatniemu towarzyszy postanowienie o niewysyłaniu zbrojnych patroli na obszary kontrolowane przez siły przeciwnie oraz zaniechaniu wszelkich aktów wrogości, terroru i represji. Dwustronne wojskowe komisje mieszane zobowiązane zostały do bez-

zwłocznego określenia stref, znajdujących się pod kontrolą każdej ze stron. Uzgodniono ponadto, że strony południowietnamskie nie zgodzą się na wprowadzenie do Wietnamu Południowego obcych sił zbrojnych, doradców, ani uzbrojenia.

Obszerny komunikat traktuje również o wyborach i warunkach, jakie powinny być zapewnione Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru do wypełniania jej zadań.

Członek Biura Politycznego KC Partii Pracujących Wietnamu i przedstawiciel rządu DRW — Le Duc Tho oświadczył, że podpisanie wspólnego komunikatu jest nowym zwycięstwem narodu wietnamskiego i służy realizacji porozumienia paryskiego. Zapewnił on jednocześnie, że rząd DRW ściśle przestrzegać będzie tych ustaleń.

Jak wiadomo — proces przywracania pokoju w Wietnamie przebiegał dotychczas z pewnymi opóźnieniami i zakłóceniami, powodowanymi przez administrację sajsjońską. Skrupulatne przestrzeganie przyjętych teraz postanowień powinno spowodować przyspieszenie tego procesu.

W. SŁAWSKI

Naszej Koleźniczce ZOFII JAROS wyrazy najgłębszego współczucia z powodu bolesnej straty.

**MATKI**

składa

ZESPÓŁ „ODGŁOSÓW”



## ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PAŁUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRAKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.



# RASTERZE

Dalszy ciąg ze str. 1

Niektóre z nich sięgają daleko, bo jeszcze w okupację, kiedy inż. Danowski przebywał w Warszawie, działał w konspiracji... wówczas to zetknął się niejako osobiście ze znaczkiem, o którym pisałem trzy tygodnie temu. Ze znaczkiem

niej - raster był miękkim - pod lupą nie widać było siatki, tylko rozłożone cienie retuszu. Powiedziałem wówczas: - Jeśli to Frank drukował w Wiedniu, to przedtem musiał sprowadzić maszyny z angielskiej drukarni Waterlow Bros Layton... - Potem mój dowódca z konspiracji odwołał mnie na bok i rzekł: - Jeśli się mówią na miście, że Frank drukuje swoje znaczki w Wiedniu, to widocznie tak



wydrukowanym w Anglii w ramach „wojny psychologicznej”, a przedstawiającym gubernatora Franka.

„Pamiętam, przyszedł wówczas ktoś znajomy, przynosząc znaczek z gubernatorem Frankiem.

- Popatrzcie - mówili - na coś się w Rzeszy zanosi. Frank zaczął w Wiedniu wydrukować znaczki ze swoją podobizną. Tego jeszcze nie było. Niemcy gubią się w domysłach, co to oznacza.

Spolizłem na ten znaczek - istotnie przypominał do złudzenia obiegową serię z Führerem. Ale przyjrzałem mu się dokład-

nie - nie wydziwiał nad tym znaczkiem; Niemcy mają swoich ekspertów, niech się oni martwią...

Już wiedziałem, że znaczek ma stać niepokój, bułwersować Niemców. że drukowany był właśnie w tym celu w Anglii. Po prostu znalazłem cechy charakterystyczne znaczków brytyjskich - wiedziałem, że mają tzw. twarde raster, co bardzo dobrze widać na powiększeniach...

Inż. Danowski kładzie przede mną dwie wielkie fotografie. Na jednej powiększony znaczek z Frankiem - istotnie - brak tu

charakterystycznej „siatki”, na drugiej fotografii powiększenie znaczka z królową angielską: „siatka” jest wyraźna.

**A**le wróćmy do współczesności, bo oto ekspert zabiera się do badania dwu szwedzkich znaczków. Są to znaczki dość popularne, cena egzemplarza z nadrukiem nie przekracza 10 zł, za to bardzo rzadkie egzemplarze bez nadruku sięgają sumy... 20 tys. złotych. Dla fałszerzy grałka nie lada. Przy pomocy jednej operacji zmycia nadruku „zarabia” się prawie 20 tys. złotych.

Ołóż - nie zarobi się! Znaczek wędruje pod lampę kwarcową i... nadruk widnieje jak byki! Można bowiem zmyć farbę, ale nie zmyje się pozostałości składników chemicznych, zawartych w farbie. Przeniknęły do podłoża - zostały na znaczku i pod lampą demaskują fałszerza.

Któż tam nie zarobi 20 tys. zł na oszustwie.

Lampa kwarcowa jest niezawodna. W mojej obecności „zdemaskowała” inny znaczek, choć na pierwszy rzut oka mógłbym głowę dać, że jest to egzemplarz, jeśli nie fałszywy, to w każdym razie cały.

Okazało się: składał się z dwu sklejonych ze sobą fragmentów znaczka. Posluchajmy więc opowieści o tzw. „Trójce saskiej”:

„Ten maleńki, czerwony skrawek papieru to właśnie owa „trójka saska”, czyli znaczek za 3 fenigi, z drugiej połowy XIX wieku, wydany w Saksonii. Według cen państwowych kosztuje 55 tys. zł, ktoś go chce sprzedać za 40 tys., ale pragnie uzyskać gwarancję eksperta, że to nie jest fałszerstwo... I widzi pan - to nie jest fałszywie znaczek, tylko, że... sklejony z dwu części, rzecz niezwykle często spotykana w wypadku „saskich trójek”. Były to bowiem tzw. znaczki gazetowe, naklejane na opaski gazet i druków urzędowych. A zatem adresat, rozrywając opanaske, rozrywał w reguły znaczek, całe natomiast zachowało się dużo połówek tych znaczków, całe natomiast są w cenie. Dalej sprawa jest prosta - fałszerze, dysponując połówkami, łączą je razem, bardzo nieraz udając i powstaje jeden cały znaczek... Niestety, cena sklejonego odblega daleko w dół od 50 tys. zł”.

Oglądam „trójkę” przez lupę - absolutnie żadnego śladu sklejenia. Oglądam odwrotną stronę - gładka powierzchnia papieru, nawet śladu rysy po sklejeniu... Więc?

- Proszę pana - mówię inż. Danowski - fałszerz też znał się na znaczkach. Rozwlokł więc jakiś stary papier i potem delikatnie owe włókienka papieru nakłada na znaczek. Go-

tym okiem nie pan nie zobaczy. Proszę jednak spojrzeć pod kwarcówką...

Istotnie, promienie podczerwone wskazują wyraźnie linię sklejenia.

**S**ą jednakże fałszerstwa, gdzie dla mnie laika właściwie zaczęła się granica między oryginałem a fałszykiem. Oto dowiaduję się, że istnieją różnice w cenie znaczka w zależności od istnienia lub braku kleju na odwrocie. Często różnica ta sięga np. 10 tys. zł. Dla fałszerza jest to wniosek prosty - oplaca się sfalszować klej, jeśli to warte jest tyle pieniędzy. Bieda tylko w tym, że nie sposób odtworzyć skład chemiczny kleju sprzed pięćdziesięciu na przykład lat. Nie sposób również nałożyć klej ręcznie - niejako laboratoryjnie - tak, aby wyglądał jak fabrycznie kładziony.

I na to fałszerze znaleźli sposób. Otóż przenoszą oni klej ze znaczka o mniejszej wartości na znaczek drogi. Często przenoszą klej z tego samego wydania, z tej samej serii... Wówczas i skład chemiczny i sposób nałożenia jest identyczny z oryginałem. Tylko czy wówczas to jest fałszerstwo?

Ekspert twierdzą, że jest - bowiem fałszerstwem na szkodę zbieraczy jest każdy zabieg, mający na celu w sposób sztuczny i oszukawczy podnieść cenę filatelistycznego waloru.

Przyznam się jednak, że nie słyszałem jeszcze, aby ktoś fałszował... siebie samego. A to właśnie zdarzyło się w naszej filatelistyce.

To dziwne i trochę właściwie anegdotyczne fałszerstwo dotyczyło znaczków obozowych, wydawanych przez oficerów - jeńców w niemieckich obozach. Ściśle w obozach - Born i Neubrandenburg.

W jednym z obozów znalazł się artysta-grafik, który projektował owe znaczki poczty obozowej. Po wyzwoleniu przywiózł do kraju komplet swoich drzeworytów i ofiarował je Muzeum Poczciowemu we Wrocławiu. Przedtem wszakże wykonał stosowny zapas znaczków, które powoli sprzedawał zbieraczom jako obozowe autentyki. Do pewnego stopnia były to zresztą autentyki. Oryginały klisz znajdowały się w gablotach muzealnych, co znakomicie uwierzytelniało autentyczność sprzedawanych egzemplarzy.

Zapas odbitek wkrótce się jednak wyczerpał. Wypożyczenie klisz z muzeum nie wchodziło - rzecz prosta - w rachubę. A tu zapotrzebowanie na znaczki obozowe wzrosło, zainteresowanie pocztą obozową sięgnęło szczytu, zwłaszcza gdy Komisja Naukowo-Badawcza Polskiego Związku Filatelistycznego oficjalnie uznała pocztę obozową. Cóż więc robi nasz grafik-projektant?

Wykonuje mianowicie repliki - a ściślej fałszerstwa - swoich własnych znaczków, projektowanych w obozie. Oczywiście, cudów nie ma, nie da się wykonać dwu identycznych drzeworytów. Tak więc afera fałszerstwa obozowych skończyła się skandalem.

Oglądałem u inż. Danowskiego „oryginały Krawczyki” i „fałszywe Krawczyki” (nazwisko oczywiście zmieniam) - różnice są wyraźne na pierwszy rzut oka, ale... tylko wówczas, gdy się posiada oryginalny, który jest spora ilość, krąży zapewne wśród filatelistów.

Istnieje zresztą podejrzenie, że także z innych obozów wywieziono klisze, nie depozując ich wszakże w Muzeum Poczciowym. Ostatnio bowiem ukazuje się na rynku sporo zupełnie nowych fałszerstw obozowych. Niektóre są bardzo udane - ale są i dość prymitywne, robione na kserografie, co widać zresztą gołym okiem, bowiem na papierze pozostają ślady proszku, albo i zupełnie wymyślone, jak na przykład... pycinane z obwoluty katalogu poczt obozowych.

Wbrew pozorom fałszerstwa znaczków obozowych ekspert wykrywa niejako „od ręki”. Dysponuje bowiem bogatym materiałem porównawczym, a poza tym rodzaje papieru (choć było ich sporo) zostały dokładnie skatalogowane.

Wspomniałem na wstępie o „łódzkiej szkole” badaczy filatelistyki. Nie jest to stwierdzenie głośne. Oto niedawno fałszerze rzucili na rynek filatelistyczny spore ilości fałszyków znaczka z pierwszych powojennych miesięcy Polski Ludowej. Starsi zapewne pamiętają czerwony znaczek za 25 gr z orłem piastowskim. Są to egzemplarze popularne i tanie - kosztują parę złotych. Jest wszakże odmienna tego znaczka z nadrukiem nowej wartości. I ta kosztuje już ponad 1000 złotych.

Tak więc fałszerze wykonywali na oryginalnych znaczkach fałszywe nadruki... oryginalną wszakże

kliszą. Fałszykat bardzo zręczny. Nic dziwnego, że nabrały się na to wielkie sklepy filatelistyczne Warszawy, Krakowa czy Lublina. W Łodzi numer nie przeszedł.

Proszę zwrócić uwagę, że znaczki były oryginalne - klisza, którą wykonano nadruki - także. W ten spo-



sób ze znaczka o wartości kilku złotych zrobiono znaczki wartości 1000 zł. Rzecz jednak w tym, że ekspert dysponuje materiałem porównawczym, posiada na przykład powiększone zdjęcie całego arkusza 100 znaczków z oryginalnymi nadrukami. Wystarczy więc zanalizować cechy nadruków na poszczególnych



znaczkach arkusza, aby dojąć do wniosku, że te wielkie ilości egzemplarzy, jakie pojawiły się w sklepach, nie mogły wyjść z państwowej drukarni 30 lat temu, tylko, że to dziś ktoś „tluże” jedną kliszą nadruki, nie bacząc na różnice cech w poszczególnych znaczkach arkusza. Nie pomogło fałszerzowi nawet to, że się „zabezpieczył” fałszywką również... stempelek gwarancyjny znanego warszawskiego eksperta.

Na „łódzką szkołę” badaczy filatelistyki nie ma mocnych.

JERZY WILMAŃSKI

## LISTY DO REDAKCJI

### „GASTRONOMIA”

Piszę do Redakcji, bo wiem, że od dawna walczyście z gastronomią. Krytykujecie szalenie tych niechlujów i trucielni. Walczyście trochę z wiatrakami, ale może dożyjemy lepszych czasów, kiedy w naszych łódzkich restauracjach będzie można zjeść smacznie, tanio, a przy tym zostać sprawnie i grzecznie obsłużonym. Żeby jednak być sprawiedliwym, oiszę również o pozytywnych przykładach, bo takie można na szczęście również znaleźć. Do takich zaliczyłabym restaurację „Smakosz” Gminnej Spółdzielni (tak!) w Szczercowie. Przejechałam w ubiegłym tygodniu przez to miasteczko i chociaż unikam knajp w małych miasteczkach, głód zmusił mnie do podjęcia ryzyka. Jak przyjemnie spotkało mnie rozczarowanie. Ładne wnętrze czyste, grająca szafa. I jedzenie, palce liżać. Wybór. Jak w kategorii „S”. Zresztą, co tu dużo pisać, przedstawiają sobie kartę dań, którą załączam, i uważnie popatrzcie na ceny, całkiem przystępne.

Dr Weronika Szymańska  
(Łódź)

### SPECJALNOŚĆ ZAKŁADU

Zrazy wołowe zaw. kasza gryczana  
Pyzy ziemniaczane ze słoniną  
Kurczak po polsku

### ZUPY

Zalewajka	2,50
Pomidorowa z ryżem	3,20
Kapuśniak z kisz. kap.	2,30
Owocowa z makaronem	4,10
Krupnik na podrobach	3,30
Barszczyk z pasztecikami	6,80
Flaki	7,90

### DANIA GOTOWE

Kurczak po polsku ziemn. sur. z czer. kap.	20,30
Kurczak pieczony ziemn. sur. z czer. kap.	20,10
Kura gotowana ziemn. sur. z kisz. kap.	26,30
Kaczka duszona ziemn. kap. kisz. zas.	25,40
Schab pieczony ziemn. kap. kisz. zas.	17,60
Kotlet mielony ziemn. bur. zas.	9,80
Zeberko duszone ziemn. kap. kisz. zas.	10,20
Pieczon wieprzowa ziemn. kap. kisz. zas.	14,30
Bigos hulański z ziemn.	10,70
Pieczon wołowa ziemn. bur. zas.	15,60
Zrazy wołowe zaw kasza gryczana ogórek kw.	12,90
Pierogi z kap. i mięsem	6,70
Pyzy ziemniaczane ze słoniną	3,20
Kasza gryczana z sosem pieczarkowym	5,80
Pierogi drożdżowe z sosem pieczarkowym	7,90

### DANIA NA ZAMOWIENIE

Kotlet de volaille frytek groszek konser.	22,40
Medalion wieprzowy ziemn. sałata	17,40
Kotlet schabowy ziemn. sałata	17,40
Brizol wieprzowy frytki sałata	20,00
Jajko sadzone z ziemn.	8,70
Pieczarki smażone	14,60

### DANIA RYBNE

Filet z dorsza panier. ziemn. sur. z kisz. kap.	9,20
Kotlet mielony z dorsza ziemn. sur. z kisz. kap.	8,40
Siedz w śmietanie z ziemn.	5,10

Gminna Spółdzielnia  
„Samopomoc Chłopska”  
w Szczercowie  
Restauracja „Smakosz”

Szef kuchni:  
J. Straszowska

Kierownik Zakładu:  
Z. Siewiera

### S.O.S. DLA KLIENTA

Nie będzie kłamstwem, jeżeli pozwolę sobie publicznie, w imieniu własnym i zainteresowanych tym innych osób, napisać publicznie niektóre zażądki, świadczące usługi dla ludności. Dla przykładu podam dwa fakty, które miały miejsce w Łodzi. A więc przy ul. Piotrkowskiej, róg Głównej, znajduje się zakład usługowy, zajmujący się między innymi także cerowaniem spodni. W tym celu właśnie dnia 2 maja br. zjawiłem się, prosząc o zacerowanie jasnych (bawełniana gabardina) spodni. Przyjmująca ekspedientka z miejsca poinformowała mnie, że się tym już nie zajmują, tylko podobny zakład, znajdujący się przy ul. Tuwima 75. Bodażąc następnego dnia udałem się pod wskazanym adresem, gdzie po obejrzeniu spodni przyjęto je do zacerowania, zaznaczając przy tym, że będzie to kosztować 63 zł. Na co ma się rozumieć zgodziłem się chętnie. Niestety, „PANI CEROWACZKA”, która zjawiła się w międzyczasie, po obejrzeniu, orzekła: - Nie da rady, ja tego nie zrobię!

Zapytałem więc, dlaczego? Odrzekła: - Bo są przetarte!

- Właśnie po to je przyniosłem, ponieważ są przetarte. - Ale ja tego nie zrobię - obrzuciwszy mnie przy tym nienawistnym wzrokiem, opuściła miejsce, udając się do swego warsztatu pracy.

Ekspedientka zaproponowała mi podłożenie takti i zacerowanie maszynowo. Owszem, zgodziłem się, lecz kazano mi z domu przynieść „latkę”, na co ja nie chciałem się zgodzić (WŁASNY MATERIAŁ, TERMIN 10-dniowy i WYNAGRODZENIE 43 zł). Tego naprawdę było mi już za wiele. Musiałem więc zrezygnować z naprawienia spodni przy pomocy świadczących usługi ludzi złej woli. Podobnie ma się również z cerowaniem bielizny. Zakład uważa, że robi łaskę, dużą łaskę, przyjmując do zacerowania bieliznę. A ostatnio wielce szanowna dyrekcja Sp-ni „Czystość” zabroniła przyjmowania bielizny do prania „ekspresowo”. Zapytuje, dlaczego? Czyżby nastąpiła przeciw klientowi cicha zмова?! Chyba nie. Tak jednak wygląda smutna rzeczywistość szarego obywatela. Co na to powiedzą kompetentne czynniki?

MARIAN ZIĘTKIEWICZ  
ŁÓDŹ



JESIENIN

Wiktor Woroszyński... Wydział PIW wydał „Życie Sergiusza Jesienina”...

Może dlatego, że wbrew pozorom Majakowski i Jesienin tak wiele łączyło... „Jesienin potraktował swoje życie jak bajkę”...

Elwira Watała, Wiktor Woroszyński „Życie Sergiusza Jesienina”, PIW 1973, cena 70 zł.

ZROZUMIEĆ GRECJĘ

Najnowszej książki Jana Gawrońskiego nie da się umieścić w żadnej szufladce, choć z pozoru byłoby to łatwe...

„Gdzie wzrok nie sięga...” jest piękna, mądra książka. Jest to także książka kształcąca. O Grecji wiemy bowiem bardzo wiele...

Jan Gawroński „Gdzie wzrok nie sięga...”, Wyd. PAX 1973, cena 20 zł.

NIEDYSKREJCJE

Listy zawsze przeznaczone są dla konkretnych osób, nikt ich nie pisze z myślą o publikacji. Listy zawierają intymności, często są bardzo niedyskrejne...

„Listy”, opracowała Barbara Winklowska, PIW 1973, cena 40 zł.

PAMIĘTNIKI SPEERA

Ta książka ma już w Polsce swoją historię. Przed laty „Polityka” drukowała jej fragmenty...

Albert Speer był nie tylko twórcą dość przedziwnych obiektów architektonicznych. Pełnił bowiem w hitlerowskiej Rzeszy funkcje ministra zbrojeń i produkcji wojennej...

J. WIL.

Albert Speer, „Pamiętniki”, Wyd. MON, 1973.



Tłumaczyła: URSZULA ŁADA-ZABŁOCKA (6)

Jakże ciężko mi było nie mówić prawdy. Tak rzadko i w tak niewielu sprawach kłamałam. Kiedy byłam mała, kilka, zaledwie kilka razy powiedziałam: „Nie, Sleena nie zrobiła tego”...

— No więc? — nastawała Rose-ann. — Stary! — wrzasnęła. — Popatrz no, Sleena mówi, że te korale sama nawiąka. Uważasz, że możliwe? — Wczoraj? — zdziwił się. — Zrobiła to wszystko wczoraj? Niemożliwe. — On też czekał na odpowiedź.

— Słyszysz? — nie ustępowała Rose-ann. — Jeżeli nie ja, to kto to zrobił? — powiedziałam. — Koralki są nawlezione. Przygotowane dla pana Fabera. Mówił mi, że jak mi pozwolisz pójść do parku, mogę zrobić dwa razy tyle. Wiem, że mogę lepiej pracować na świeżym powietrzu...

— Ty, ty dziwko! Tumanie jeden, podlec! A ty jesteś moje dziecko. I też mogę mówić do ciebie, co chcę. Odczep się od Sleeny, Sleena, powiedz Faberowi, żeby ci przyniósł tyle samo roboty co zawsze. — Dziadek wrócił do przerwanego gołowania. — Ho, ho! — wyrzaskiwała Rose-ann. — Wyszoruj się dobrze, przyszyj ci się porządne mycie. Cuchnie! Fu! Jeszcze jak cuchnie! Fu!

— Czy nigdy się nie pospieszaj! Co prawda Rose-ann spieszyła się, jakby ją wilki goniły. Siorbała przedko kawę. Mówiła: „co za breja... popluczyny”. Czuchał zapach jej umalowanej twarzy. Wybiegła do swojej pracy w „Damskiej” wykrzykując, że ona, Rose-ann, będzie miała niejedno do powiedzenia, jak wróci do domu, jeżeli ja, Sleena, pójdę do parku. — Uprowadź mnie! — krzyknęła trzaskając drzwiami. Dziadek otworzył je i wrzasnął za nią: — Wynocha! Patrzenie ja trzydolarówkę! Rose-ann zawróciła. — Cośnij to, coś powiedz! Nie trzy dolary, a dziesięć. Powiedz raczej dziesięćdolarówką, ty sukinyń! Znow się szamotała.

Ale już było dla nich bardzo późno. Każdego ranka musiała dziurkować kartę pracy. Zawsze zastanawiałam się, dlaczego. Muszę kogoś spytać. Gordona.

Wzięłam szklankę, w której pływała proteza. — Dziadku — zaczęłam. — Zamknij się! — Tutaj jest twoja proteza. — Wiem o tym lepiej od ciebie. Od tego mam oczy. Miał rzeczywiście wściekły humor. Był już stary, starzy ludzie powinni mieć spokojne życie. Gdybyśmy mieszkali tylko we dwoje, on i ja, bez Rose-ann, jestem pewna, że miałby spokojne życie, takie jak należy. Nie potrzebowałby na mnie krzyżeć, bo jestem z natury spokojna i cicha. Używałabym różnych sposobów, żeby zamiast się upijać co wieczór, został czasem w domu i zagrał ze mną w domino. Może się mylę. Ale przecież to nie złego stosować triki. — Dziadku — znów się odezwałam. — Pan Faber zabiera mnie dzisiaj do parku. (Oj! Oj! Przecież nie wiedziałam, czy tak będzie. Jakaż to mnie klamczucha...) Ale to obojętne, o której po mnie przyjdzie. Jak ci będzie wygodnie. Wziął protezę do łazienki, żeby ją umyć. Poszłam za nim. — O każdej porze. — Tsss, tsss... Słyszysz, co mówię do twojej matki? Słyszysz, co powiedziałam Rose-ann? — Słyszysz. — To dobrze. I to samo mówię teraz tobie. — Trzasnęłam drzwiami tak mocno, że nie tylko ja, ale wszystko w pokoju aż podskoczyło. Nareszcie miałam pokój dla siebie. Nastawiłam radio i stanęłam na środku pokoju wsłuchując się w panującą ciszę. Wykapałam się. Zjadłam śniadanie. Poczytałam i wyprasowałam używane wczoraj ubrania. Przejechałam mokrą szczotką po wewnętrznej stronie kołnierzyka koszuli dziadka. To samo zrobiłam z kołnierzykiem swojej bluzki. Miałam tak niewiele ubrań. Tylko to, co już nosiła Rose-ann. Nigdy nie dostawałam nowego. Bo niby dlaczego miałabym dostawać? Przecież to bezsensowne wydawać ciężko zarobione pieniądze na stroje dla dziewczyny, która



nie może ich widzieć i której nikt nie ogląda. Miałam jeszcze na tyle zdrowego rozsądku, Uznawałam, że to słuszne i właściwe. Ale dzisiaj przagnęłam wyglądać naprawdę ładnie. Nie miało sensu mierzyć nowych sukienek Rose-ann. Nosić wszystko o dwa numery większe niż ja. Zostaną w szafroku, póki nie przyjdzie pan Faber. Spytałam pana Fabera, która z moich sukienek jest najodpowiedniejsza na dzisiejszy spacer do parku.

Dalszy ciąg nastąpi

WYJŚĆ Z GASNĄCEGO ŚWIATŁA

RYSZARD BINKOWSKI

Autobus zniknął za zakrętem asfaltowej drogi, zostawiając mnie na małym przystanku w miejscowości Janków. Przez pola pętało sennie południe, spoza kręgu gęstej zieleni dobiegał trajkot ciągnika; w cieniu przydrożnych drzew dwóch podparty chłopów w drelichach i ciężkich zimowych oprychówkach przekomarzało się z młodą kioskarką. Podeszedłem do stojącej obok, przysłuchującej się pijanym zalotom, kobiety w czerni i spytałem o Mniszki. Uśmiechnęła się i zagadnęła: — A można wiedzieć do kogo? Wymieniłem nazwisko. Kobieta pochylała się i wskazała ukryte wśród drzew zabudowania. — Bardzo blisko, chyba z pięćset metrów. Znajdzie pan taki długi dom między drzewami, łatwo trafić.

Poszedłem wąską, kamienną drogą. Narastała cisza południa, biło w oczy złoto gęstych młeczów na rowach; wypalone konie drzemały nad obrokiem, wzdłuż wyredzonych pól stały przygotowane do sadzenia worki ziemniaków, pozostawione przez ludzi, którzy odeszli na obiad. Nie mogłem znaleźć tego domu, tym bardziej, że trudno mi było sobie wyobrazić, jak mieszka człowiek, którego pragnąłem odnaleźć. Kiedy w Prezydium PRN w Łęczycy powiedziałem, że szukam rolnika o bardzo sławnym nazwisku, młody, energiczny człowiek, kierownik wydziału rolnictwa, K. Orzechowski, stwierdził, że to stary człowiek, pracujący jako dozorca nocny w Kółku Rolniczym w Wilczkowiecach. — Mieszka w Liszkach

Dalszy ciąg na str. 7

książkami archeologicznymi, a będąc jeszcze uczniem gimnazjum spotkałem się z moim późniejszym mistrzem, prof. Józefem Kostrzewskim, który był zaszczycony moimi archeologicznymi wiadomościami. W 1926 roku — w czasie przygotowywania Gniezna do obchodów 900-lecia koronacji Bolesława Chrobrego — uczestniczyłem razem z prof. Kostrzewskim w badaniach archeologicznych. — Zrozumiałe, że po zdaniu matury wybrał Pan studia archeologiczne.

# Konrad Jazdzewski

— Oczywiście! Studiowałem archeologię w Poznaniu u prof. Józefa Kostrzewskiego w latach 1926—1930. Będąc studentem drugiego roku wydałem drukiem pierwszą swoją pracę archeologiczną, a tuż przed uzyskaniem dyplomu brałem w 1930 roku udział w kongresie archeologicznym w Rydze, na którym wygłosiłem referat w języku niemieckim.

— Wspomniał Pan Profesor o prowadzonych przez siebie badaniach archeologicznych w Prasce. Takie badania prowadził Pan również w Gdańsku, Lutomiersku, Łęczycy, Sieradzu, w Hrubieszowskim. Co zdecydowało o wyborze tych właśnie miejsc?

— Poszukiwania w Łęczycy i Lutomiersku prowadziłem z własnego wyboru. Badania w Gdańsku wynikały ze społecznego zapotrzebowania. Były dwa powody, dla których należało kopać w Gdańsku i to właśnie tuż po zakończeniu wojny.

— Jak to? — Powód pierwszy był czysto „formalny”. Po prostu w owym czasie Gdańsk, a przede wszystkim Stare Miasto, były w ruinach. Stwarzało to możliwość dotarcia do takich pokładów, do których nie można byłoby sięgnąć w innych warunkach. Trzeba było więc pośpieszyć się z badaniami archeologicznymi, aby zdążyć przed odbudową miasta.

— A powód drugi? — To stan wiedzy historycznej o najdawniejszym Gdańsku. Z tego okresu było zaledwie parę pisanych przekazów. Jedną z wzmianek z pogranicza X

i XI wieku w „Żywocie św. Wojciecha” odnosząca się do 997 roku. Parę bardzo skromnych wzmianek z XI wieku, niewiele pochodzących z XII wieku i dopiero w piśmiennictwie XIII-wiecznym można znaleźć trochę więcej, ale to dość lakonicznych informacji o ówczesnym Gdańsku.

— Zatem plan badań archeologicznych znacznie rozszerzył wiedzę o Gdańsku wczesnośredniowiecznym.

— I to bardzo. Odkopaliśmy i zbadaliśmy ślady ponad 100 domostw nawarstwionych na sobie, odkryliśmy pozostałości ówczesnych ulic i pieców, znaleźliśmy szczątki wielobar-

wniejszej przeszłości terenów dzisiejszej Ziemi Łęczyckiej i Sieradzkiej był bardzo skąpy. Dzięki badaniom archeologicznym poznaliśmy lepiej historię naczelnych grodów Ziemi Łódzkiej: Łęczycy i Sieradza.

— Dla laika śledzenie wyników badań archeologicznych jest niezwykle pasjonujące. To tak, jakby prowadzić śledztwo w przeszłości; ze śladów, szczególnie, nieraz ulamków dawnych naczyń, sprzętów odwarzać całość, zdobywać wiedzę o życiu ludzi, którzy posługiwali się tymi przedmiotami. Laik jednak dość często zadaje sobie pytanie: w jaki sposób archeolog trafia na

Poza tym trzeba uważnie śledzić wszelkie rozkopanie ziem, szczególnie pod fundamenty wielkich budowli, dróg, nasypów kolejowych. Obserwujemy profil wykopu i jeśli natrafimy na zakłócenie w barwie ziemi, staramy się wyjaśnić przy-

— Wspomniał Pan Profesor o pomocy innych nauk.

— A tak, z pomocą przychodzi nam choćby technika. Na przykład w Górach Świętokrzyskich przy pomocy zdjęć lotniczych archeolodzy odszukali ślady dawnych dymerek z III i IV wieku naszej ery.

— Od jak dawna lotnictwo pomaga archeologii?

— W czasie wojny hilerowskiej kazali Żydom lutomierskim wykopać nagrobki ementarza pochodzącego z XVII—XVIII wieku. Przy wykopywaniu nagrobków, które miały posłużyć do brukowania ulic, natrafiono na jeszcze starsze groby. Po wojnie zbadaliśmy je i okazało się, że pochodzą one z początku XI wieku, z czasów panowania Bolesława Chrobrego i pierwszych lat panowania Mieszka II.

— A jakie wyniki dały badania w podlódzkim Lutomiersku?

— W czasie wojny hilerowskiej kazali Żydom lutomierskim wykopać nagrobki ementarza pochodzącego z XVII—XVIII wieku. Przy wykopywaniu nagrobków, które miały posłużyć do brukowania ulic, natrafiono na jeszcze starsze groby. Po wojnie zbadaliśmy je i okazało się, że pochodzą one z początku XI wieku, z czasów panowania Bolesława Chrobrego i pierwszych lat panowania Mieszka II.

— Czy to były groby? — Jest to jedyne w swoim rodzaju cmentarzysko. W grobach z Lutomierska znaleźliśmy — a badania te prowadził, prof. dr Andrzej Nadolski — zabytki pochodzenia polskiego i obcego. Postawiliśmy hipotezę — i chyba nie mylimy się — że były to groby wojów drużyny, która na skutek waśni dynastycznych musiała uciekać z Rusi Kijowskiej i znalazła schronienie w centrum Polski, właśnie w borach okalających ówczesny Lutomiersk.

— A wykopaliska w Łęczycy i Sieradzu? — Badania w Łęczycy i Sieradzu wynikały też z pewnego zapotrzebowania społecznego. Otóż przed wojną stan wiedzy o wczesnośredniowiecznej i jeszcze

— Współczesny archeolog korzysta już z doświadczenia poprzedników, korzysta też z pomocy innych nauk. Przede wszystkim musi być jednak bystrym obserwatorem i legitymować się dużą wiedzą nie tylko archeologiczną, ale także historyczną i przyrodniczą. Powinien na przykład umieć wnioskować o zawartości podłoża na podstawie roślinności. Mój bliski współpracownik — konserwator z naszej pracowni konserwacji zabytków Stanisław Majowski — obserwował w rodzinnym Brześciu Kujawskim wysokość i zabarwienie zboża. Inną wysokość i barwę miało zboże tam, gdzie przed prawie 6,5 tysiącami lat znajdowały się ogromne neolityczne domostwa. Albo weźmy inny przykład. Pewien angielski uczonec, prowadzący badania archeologiczne na Bliskim Wschodzie, stwierdził, że miejscami na skalistym podłożu występują rośliny, głęboko zapuszczające korzenie. Kazał kopać w tym miejscu i natrafiał na pradziejowe groby.

— Od czasów pierwszej wojny światowej. To Anglicy pierwsi wykorzystali samoloty do badań archeologicznych. Najpierw na Bliskim Wschodzie, a następnie w Wielkiej Brytanii. Z góry mapa plastyczna Ziemi wygląda zupełnie inaczej. Oczom lotników ukazują się różnice w zabarwieniu i ukształtowaniu ziemi. Anglia ma na ogół podłoże wapienno-kredowe, na tym spoczywa cienka warstwa próchnicy. Zakłócenie proporcji między próchnicą a podłożem, właśnie przez kopanie fos, fundamentów, kładzenie dróg, budowanie kurehanów, świątyni czy miejsc kultu, ujawniało się lotnikom albo odmienną roślinnością, albo innym zabarwieniem próchnicy.

— A inne metody? — Archeolog musi korzystać z dorobku i z metod stosowanych w różnych dziedzinach wiedzy. W ziemi nie wszystko się zachowuje. Czasem po człowieku nie pozostaje żaden materiałny ślad. Zwłoki dokładnie ulegają rozpadowi, ale w ziemi zachowują się „ciemni nieboszczyka”. Pewien angielski uczonec prowadzący wykopaliska w ilastym podłożu, zauważył drobne otworki w ściśłym ile. Kazał wlać w nie rozcieńczony gips i tak powstał odlew instrumentu muzycznego sprzed tysięcy lat.

— Innym znów razem znalazł w ziemi złote błazki i gdyby nie zanotowana przestrzenna układ i porządku, w jakim blaszki te wydobywano, to do dziś nikt by nie wiedział, że było to złote obicie królowskiego tronu.

— Tak postępuje się w warunkach, gdy wyznawcy wymienionych kierunków współczesnej plastyki nie usiłują zastraszyć mnie własną niewiedzą propedeutyki filozofii. Tak, zastraszają... bo wiem niewiedza bywa straszną w skutkach, odkrywanie powszechnie znanych prawd na swój własny użytek może być zajęciem wcale kształcącym i zabawnym, ale wystawianiem na widok publiczny swoich nieprzemysłanych, niepojętych i naiwnych sądów filozoficznych, nawet ubranych w kostium sztuki, zawsze budziło we mnie sprzeciwy. Nie wydaje mi się, aby można było w drugiej połowie XX wieku traktować widza z sal wystawowych jak staćca, zdolnego przy-swoić sobie tylko elementarz.

— „Metaforą nazywamy — pisze w katalogu Bernard Kepler — jak wiadomo, przeniesienie znaczeń z jednego znaku, czy zespołu znaków, na inny, na podstawie pewnego, czasem odległego podobieństwa. Uzyskujemy w ten sposób nową całość semantyczno-obrazową o silnym zabarwieniu emocjonalnym. W

— Sądząc z wyników pracowań naukowych Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi, znaczenie tej placówki przekracza daleko poza łódzki region.

— Rzeczywiście tak jest, chociaż naszą pracę oświatową adresujemy przede wszystkim do społeczeństwa tego regionu.

— Czy inne ośrodki ko- rzystają z pomocy i doświadczeń łódzkiego ośrodka archeologicznego? — Nie tylko krajowe. Nie tak dawno wicedyrektor naszego muzeum i kierownik działu konserwacji — mgr inż. Andrzej Kanwisher zaproszony był do Muzeum Narodowego w Bukareszcie, gdzie pomagał w konserwacji niektórych cenniejszych tkanin zabytkowych. U nas przeprowadzono też między innymi konserwację XI-wiecznej stuy biskupiej z Tylicy, pochodzącej ze zbiorów wawelskich. To chyba dobrze świadczy o możliwościach łódzkiej pracowni konserwacyjnej.

— A jakby Pan Profesor określił rolę i miejsce zarówno Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego, jak i innych łódzkich muzeów w kulturalnej mapie miasta? — W Krakowie, Poznaniu, Warszawie, Gdańsku same miasta, w ich starych częściach, są muzeami. Ba, nawet Piotrków Trybunalski ma o wiele więcej cennych zabytków architektonicznych niż Łódź. Dla mnie osobliście łódzkie muzea stanowią pewną rekompensację za ów brak tradycyjnej kultury architektonicznej miasta, ukształtowanego w określonych warunkach historycznych. Łódź zmienia się dziś na lepsze, pięk-

— Tak postępuje się w warunkach, gdy wyznawcy wymienionych kierunków współczesnej plastyki nie usiłują zastraszyć mnie własną niewiedzą propedeutyki filozofii. Tak, zastraszają... bo wiem niewiedza bywa straszną w skutkach, odkrywanie powszechnie znanych prawd na swój własny użytek może być zajęciem wcale kształcącym i zabawnym, ale wystawianiem na widok publiczny swoich nieprzemysłanych, niepojętych i naiwnych sądów filozoficznych, nawet ubranych w kostium sztuki, zawsze budziło we mnie sprzeciwy. Nie wydaje mi się, aby można było w drugiej połowie XX wieku traktować widza z sal wystawowych jak staćca, zdolnego przy-swoić sobie tylko elementarz.

— „Metaforą nazywamy — pisze w katalogu Bernard Kepler — jak wiadomo, przeniesienie znaczeń z jednego znaku, czy zespołu znaków, na inny, na podstawie pewnego, czasem odległego podobieństwa. Uzyskujemy w ten sposób nową całość semantyczno-obrazową o silnym zabarwieniu emocjonalnym. W

nie, ale ciągle jest młode i muzea powinny uzupełniać niejako tradycję, wzbogacać społeczną świadomość, umiejscawiać przeszłość Łodzi w ogólnonarodowym dorobku historycznym. Stąd, właśnie w Łodzi, rola i znaczenie muzeów jest większa, i głębsza niż gdziekolwiek indziej w Polsce. I dlatego łódzkie muzea powinny reprezentować poziom europejski.

— Czy Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne ma szansę stać się placówką o europejskim poziomie? — Jestem optymistą w tej sprawie.

— Mimo, że terazniejsza łódzka muzealnictwa nie przedstawia się najlepiej?

— Mimo to, A swój optytyzm tłumaczę dość — w moim przekonaniu — racjonalnie. Nie wyobrażam sobie Łodzi inaczej niż jako miasta, które byłoby w równym stopniu ośrodkiem przemysłowym, co i akademickim. Działalności wyższych uczelni nie wyobrażam sobie bez współpracy z muzeami. Zaraz po wojnie była w Łodzi katedra historii sztuki. Dziś nie mamy tego kierunku, ale myślę, że doczekamy się jeszcze jego reaktywowania na UL. Czy taka katedra może działać bez kontaktu i współpracy z Muzeum Sztuki? Czy mogą się bez tego obejść studenci szkoły artystycznej? Nie. wyobrażam sobie kształcenia archeologów czy też historyków bez kontaktu z Muzeum Archeologicznym, zsetelnych studiów na Wydziale Włókienniczym Politechniki Łódzkiej bez ścisłego powiązania z Muzeum Historii Włókiennictwa.

— Pod warunkiem jednak, że muzeum tym stworzymy dogodne możliwości rozwoju.

— Jeśli chodzi o Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne, to w latach 1975—1990 w wieloboku ulicy Piotrkowskiej, Placu Wolności, ulicy Nowotki i Wschodniej ma powstać wielki kompleks budynków, które pozwolą, aby nasze muzeum stało się placówką europejską. Inne muzea też otrzymają takie możliwości rozwoju. Dzieje się już tak w przypadku Muzeum Historii Włókiennictwa i tak ma też być w przypadku Muzeum Sztuki.

— Warunki rozwoju trzeba chyba rozumieć nie tylko przez zwiększenie powierzchni pod ekspozycję, ale przede wszystkim przez zmianę stosunku do muzeum. Nie można muzeów traktować jedynie jako placówki kulturalno-oświatowej. Trzeba je traktować jako placówki naukowej.

— To rozumiem. I Łódź stać na to, aby stworzyć swoim muzeom nowoczes-

nie, ale ciągle jest młode i muzea powinny uzupełniać niejako tradycję, wzbogacać społeczną świadomość, umiejscawiać przeszłość Łodzi w ogólnonarodowym dorobku historycznym. Stąd, właśnie w Łodzi, rola i znaczenie muzeów jest większa, i głębsza niż gdziekolwiek indziej w Polsce. I dlatego łódzkie muzea powinny reprezentować poziom europejski.

— Czy Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne ma szansę stać się placówką o europejskim poziomie? — Jestem optymistą w tej sprawie.

— Mimo, że terazniejsza łódzka muzealnictwa nie przedstawia się najlepiej?

— Mimo to, A swój optytyzm tłumaczę dość — w moim przekonaniu — racjonalnie. Nie wyobrażam sobie Łodzi inaczej niż jako miasta, które byłoby w równym stopniu ośrodkiem przemysłowym, co i akademickim. Działalności wyższych uczelni nie wyobrażam sobie bez współpracy z muzeami. Zaraz po wojnie była w Łodzi katedra historii sztuki. Dziś nie mamy tego kierunku, ale myślę, że doczekamy się jeszcze jego reaktywowania na UL. Czy taka katedra może działać bez kontaktu i współpracy z Muzeum Sztuki? Czy mogą się bez tego obejść studenci szkoły artystycznej? Nie. wyobrażam sobie kształcenia archeologów czy też historyków bez kontaktu z Muzeum Archeologicznym, zsetelnych studiów na Wydziale Włókienniczym Politechniki Łódzkiej bez ścisłego powiązania z Muzeum Historii Włókiennictwa.

— Pod warunkiem jednak, że muzeum tym stworzymy dogodne możliwości rozwoju.

— Jeśli chodzi o Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne, to w latach 1975—1990 w wieloboku ulicy Piotrkowskiej, Placu Wolności, ulicy Nowotki i Wschodniej ma powstać wielki kompleks budynków, które pozwolą, aby nasze muzeum stało się placówką europejską. Inne muzea też otrzymają takie możliwości rozwoju. Dzieje się już tak w przypadku Muzeum Historii Włókiennictwa i tak ma też być w przypadku Muzeum Sztuki.

— Warunki rozwoju trzeba chyba rozumieć nie tylko przez zwiększenie powierzchni pod ekspozycję, ale przede wszystkim przez zmianę stosunku do muzeum. Nie można muzeów traktować jedynie jako placówki kulturalno-oświatowej. Trzeba je traktować jako placówki naukowej.

— To rozumiem. I Łódź stać na to, aby stworzyć swoim muzeom nowoczes-



## TRIENNALE MALARSTWA I GRAFIKI

STEFAN KUBICKI: dokończenie ze str. 3

prezentacji, nie ma powodu, by wirnie odtwarzać wyglądu natury. Ani zgodnie z potocznym doświadczeniem, ani uchwycione w badaniach naukowych. Naukowy obraz świata ze swoimi monstrualnymi wielkościami nie daje się bowiem przyswoić w przeciętnych ludzkich doznaniach.

Toteż sztuka nie zawsze może korzystać z formuł naukowych — nie może na przykład sensownie zilustrować pojęcia nieskończoności. Z

drugiej strony nauka, dając wiedzę o przyczynach tylko i skutkach, nie dociera do istoty rzeczy. A sztuka do niej dociera, ale tylko dzięki wyobraźni, bo istota rzeczywistości nie może być ani zaobserwowana, ani bezpośrednio przedstawiona.

W przedmiocie istotnych różnic między nauką a sztuką nie sposób nie zgodzić się z Bernardem Keplem, jest ich znacznie więcej, ale nie w tym rzecz, naukę od sztuki

można oddzielać na wiele sposobów, natomiast co do uchwycenia „istoty rzeczy” przez sztukę, czy też „istoty rzeczywistości” — to słowa Keplera nie przekonują mnie. Wystawa także nie potwierdza „istoty rzeczywistości”, nie tylko nie potwierdza istnienia takiej „nadzędnej wartości”, ale wprost wulgaryzuje ją. Określenie „istota rzeczy” w odniesieniu do sztuki metafizycznej, prezentowanej w parku Sienkiewicza, jest „dobarbaniem miłu”, jest próbą przypisania „głębszego znaczenia” kompozycjom niewiele mówiącym. Gdy artysta postanawia sobie „wyrzucić niewyraźność”, „pokazać nieistnienie” i do tego celu używa banalnej symboliki — musi przegrać. Chęć powiększenia „istoty” — nie powie nie, stara to prawda, ale, niestety, ciągle jeszcze aktualna.

Chełabym było dobrze zrozumiany — nie mam nie przeciwko sztuce metafizycznej, podobną mi się „stara figuracja” i głoszę za „nową”, lubię abstrakcjonizm i realizm, z jednym jednakże

warunkiem, gdy wyznawcy wymienionych kierunków współczesnej plastyki nie usiłują zastraszyć mnie własną niewiedzą propedeutyki filozofii. Tak, zastraszają... bo wiem niewiedza bywa straszną w skutkach, odkrywanie powszechnie znanych prawd na swój własny użytek może być zajęciem wcale kształcącym i zabawnym, ale wystawianiem na widok publiczny swoich nieprzemysłanych, niepojętych i naiwnych sądów filozoficznych, nawet ubranych w kostium sztuki, zawsze budziło we mnie sprzeciwy. Nie wydaje mi się, aby można było w drugiej połowie XX wieku traktować widza z sal wystawowych jak staćca, zdolnego przy-swoić sobie tylko elementarz.

— „Metaforą nazywamy — pisze w katalogu Bernard Kepler — jak wiadomo, przeniesienie znaczeń z jednego znaku, czy zespołu znaków, na inny, na podstawie pewnego, czasem odległego podobieństwa. Uzyskujemy w ten sposób nową całość semantyczno-obrazową o silnym zabarwieniu emocjonalnym. W

malarstwie metafizycznym nie zakładam się tworzenia nowej rzeczywistości estetycznej, równoległej do świata nauki i techniki, nie kładzie się więc nacisku na obraz i jego prawa, na logikę i doskonałość układu, ani na sztukę wykonania. Celem nadrzędnym nie jest bowiem dzieło pojęte jako przedmiot, który trzeba zrobić, jako zadanie intelektualne. Nie chodzi przecież o sztukę dla sztuki, która może się obejść bez widza. Od widza wymaga się przeto postawy estetycznej.”

Wiemy, czego wymaga się od widza: „postawy estetycznej”. A czego ma prawo wymagać widz od artysty? Myślę, że „odbiorca dzieł sztuki” także mógłby się spodziewać, iż artysta przyjmie „postawę estetyczną” i zaprezentuje umiejętnością warsztatową, którymi posługuje się, aby przekazać swoje indywidualne przemyślenia, własny świat wyobraźni — słowem — wartości twórcze, niepowtarzalne. A tymczasem... artysta poprzez dzieło „nadaje komunikaty”, przemawia kodem niezwykłe zawiłym i często,

niestety, niewiele ma do powiedzenia. Ze świat jest „zmechanizowany”, że ludzimu coraz trudniej nadażyć za współczesną techniką, że zmęczone i nerwice, że pośpiech... tak, my to wszystko wiemy, spotykamy się z tym na co dzień, ale do galerii nie chodzimy codziennie, to nie jest sklepik ani poczekalnia dworcowa, chcemy autentycznych przeżyć artystycznych, a nie sloganów i straszania.

Wychodząc z wystawy w parku Sienkiewicza odetchnąłem z ulgą, na szczęście nie jest tak, jak głoszą metaforyści, plaki jeszcze śpiwają, dzieciaki uganiają się za piłką, a świat mieni się kolorami włosów. Na ulicy można odmalować zwyciężoną, ale uśmiechniętą twarz, zagonionych ludzi, ale pogodnych, zdających do jakiegoś celu, na szczęście potrafimy się jeszcze cieszyć, żyć pocieszenie i kiedy trzeba — smucić. A nowoczesna sztuka przybiera maskę katastrofizmu, strasy ponurymi symbolami — panowie artystcy, czy nie zdarzyło się wam przeżyć choć jednej pogodnej wiosny?

sne warunki rozwoju i to zarówno materialne, jak i merytoryczne. Ale tutaj przez wiele lat mówiło się tylko o robotniczej tradycji, zapewniało się o postępie, a faktycznie mało co robiło się i dopiero po roku 1970 sytuacja zmieniła się wyraźnie na lepsze.

Mnie się jednak wydaje, że łodzianie ciągle nie mogą zapomnieć, że miasto naprawdę zaczęło rozwijać się 150 lat temu, choć obchodzimy 550-lecie nadania praw miejskich. Obserwuję ciągi brak szerokiego oddechu, brak rozmachu, śmiałości w rozwijaniu drugiego przecież miasta w Polsce, poważnego ośrodka przemysłowego. Przykładem takiej ostrożności, połowiczności działania jest dla mnie ślimaczo postępująca i niewystarczająca modernizacja łódzkich dworców. A przecież na Chojnach aż wstyd jest przyjmować zagranicznych gości.

— Mówi Pan jak prawdziwy łodzianin, choć wiem, że nie urodził się Pan w Łodzi.

— Nie, ale tu osiadłem po drugiej wojnie światowej. Byłem założycielem i współtwórcą Katedry Archeologii na Uniwersytecie Łódzkim i współtwórcą odrodzonego Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego. Mam zresztą także swój udział przy tworzeniu podobnego muzeum w Gdańsku, a przed wojną i przez okres okupacji pracowałem w muzealnictwie w Warszawie. Łodzianinem stałem się ze świadomego wyboru i dziś czuję się z tym miastem silnie związanej.

— I tutaj kontynuował Pan swoją pracę pedagogiczną?

— Tu ją właściwie zacząłem w 1945 roku. Przedtem, w latach 1927—1929, byłem zastępcą młodszego asystenta w Instytucie Prehistorycznym Uniwersytetu Poznańskiego. Później byłem kolejno stypendystą Funduszu Kultury Narodowej, praktykantem Działu Prehistorycznego Muzeum Wielkopolskiego i od 1931 roku asystentem i adiunktem Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie, aż w czerwcu 1939 roku Uniwersytet im. Stefana Batorego w Wilnie wystąpił z wnioskiem o nominowanie mnie profesorem nadzwyczajnym. Zaczęłam już uczyć się języka litewskiego, bo bez znajomości historii i współczesności Litwy nie mogłabym prowadzić badań na tamym terenie. Przeszkodziła w tym wojna. Po wojnie zostałam kierownikiem Katedry Archeologii i wykładowcą na UL.

— Przez te lata działalności naukowej, pedagogicznej i muzealnej nawiązał Pan chyba wiele kon-

taktów naukowych nie tylko w kraju.

— Mogę pani powiedzieć, gdzie nie byłem przez lata. A więc nie byłem w Islandii, Grecji, Bułgarii, Portugalii, Norwegii, Estonii i na Litwie. Resztę krajów europejskich znam. Moje wyjazdy zagraniczne zawsze miały charakter naukowy. Jeździłem bądź to na kongresy naukowe, bądź to z wykładami uniwersyteckimi. Jestem członkiem wielu międzynarodowych towarzystw W 1968 roku odbyłem nawet naukową podróż dookoła świata: przez Związek Radziecki do Japonii, gdzie brałem udział w kongresach naukowych w Tokio i Kioto, przez Stany Zjednoczone — gdzie również pojechałem w celach naukowych — do Londynu i przez zachodnią Europę do kraju.

Japoński archeolog i wielki przyjaciel Polski, prof. dr. Ryochu Umeda, uśmiechając się na raka prosił mnie o opiekę nad swoim synem Yoshichem. Wychowywałem go tu w Łodzi przez kilka lat. Obecnie jest studentem polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim, ożenił się z Polką, która dla odmiany i uzupełnienia studiuje język japoński.

Drugi Japończyk, mgr Jiro Hasegawa, uczeń prof. Umedy, studiował u mnie w Łodzi, jest teraz asystentem naszego Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego i przygotowuje pracę doktorską o najstarszej słowiańskiej ceramice z obszaru Europy środkowej.

— Ile ma Pan Profesor wychowanków i uczniów?

— Wychowałem 6 profesorów, kilku docentów, 10 doktorów i blisko 50 magistrów.

— I ostatnie już pytanie, trochę niedyskretnie. Jak wypoczywa archeolog?

— Właśnie wyjeżdżam na wieś na urlop.

— I nie będzie się Pan tam zajmował archeologią?

— Przeciwnie. Biorę z sobą wielką walizkę książek i notatek. Przez pierwsze kilka dni odespię wszystkie zagłębione, nacieszę się zielenią, śpiewem ptaków, świeżym powietrzem, a potem usiądę w cieniu drzew, albo w łące, jak będzie padało, i będę pisał. Mam do napisania — do połowy przyszłego roku — wielką pracę dla „Ossolineum”. Będą to „Pradzieje Europy Środkowej”.

Widzi więc pani — archeolog mało kiedy odpoczywa. Nawet kiedy jest na urlopie tropi przeszłość, szuka jej śladów.

— Chciałabym zatem życzyć Panu Profesorowi dobrego wypoczynku i powodzenia w pracy.

— Dziękuję.

Rozmawiała:  
BOGDA MADEJ

# WYJŚĆ Z GASNĄCEGO ŚWIATŁA



Dalszy ciąg ze str. 5

Jest wysoki, postawny, pragnę jak najdokładniej zapamiętać tę postać. A więc siwe włosy, ogorzala w słońcu, zbrzydźona, dokładnie wygolona twarz, równo przycięty, szpakowaty wąs. Ubrany w granatową koszulę, brązowe welwetowe spodnie i ciężkie gumki. Potomek marszałków i hetmanów — Hubert Lubomirski.

Mówię, że nie chciałem być natrętem, ale jestem dziennikarzem, więc...

— Chyba nie z „Polityki” — przerywa. — Słyszałem, że tam o nas napisali i dźwię się...

— Warto chyba przypomnieć ludzi o nazwiskach, które przeszły do historii. Pisano, że wy tworzyliście historię...

— My, garstka ludzi — śmieje się. — Historię, przesyła pana, tworzy naród. A o mnie co napisano?

— Takie dwie rzeczy, które mnie się osobliwie nie spodobały. Na przykład, że pan popelniał megalomanie.

— Najgorzej, kiedy ktoś wtyka nos w nie swoje sprawy — zachnął się. — Megalomanie... Przecież, do diabła — śmieje się — hrabianek nie było i nie ma do wyboru!

— Właśnie! Zastanawiam się, czy w dzisiejszych czasach w ogóle można mówić o megalomanie.

— To dobrze. Czym więc mógłbym panu służyć?

— Chciałabym po prostu porozmawiać o pańskim życiu.

Odkłada widły i prowadzi mnie w pole. Martwi się, żebym nie ugryzł na błotnistej ścieżce, pokazuje dozdne, w wysokich piórach żyto. Jesteśmy nad dwoma otoczonymi trzcina, luszczącymi się srebrem stawami.

— Dalej pan nie przejdzie — mówi Hubert Lubomirski, wskazując cieknącą przez stawidło wodę.

Siadamy na trawistym wzniesieniu. Lubomirski pstryka dużą gazową zapalniczką, zaciąga się „klubowym”, opowiada. Nie zgubił akcentu, podkreśla mocno, niemal w każdym słowie, to charakterystyczne „”.

— We Francji kończyłem u Dominikanów drugą maturę. Kiedy przyjechałem, kolega Francuz powiedział ze złością: „A ja myślałem, że Polacy chodzą nago i boso jak dzikusy”. Pytał podchwytliwie, jaki rząd uważał za najlepszy. Odpowiedziałem, że taki, który bez względu na warunki ustrojowe i geograficzne

dobrze służy narodowi. Słyszałem często słowa: „ta strasna emigracja”, więc kiedy w r. 1940 wszyscy wyjeżdżali do Włoch, nawet babka Radziwiłłowa, i gdy pytano mnie, czy chcę jechać, powiedziałem, ale niech pan tego nie poczyna za deklarację, że jestem Polakiem, a ponieważ Polska jest w biedzie, zostanie, bo nigdzie nie jest lepiej, jak w kraju, gdzie jest się otoczonym ludźmi o jednakowej kulturze, podobnie myślącymi, bliskimi. Tu jestem sobą, tam byłbym kimś obcym. Emigrację dręczy nostalgia. Dlaczego? To jasne — my, Polacy, wszyscy jesteśmy sobą, trochę romantycy, a tam — ludzie zarażeni materializmem, zamknięci w sobie, uparcie dążący do stworzenia własnego dobrobytu, nie dostrzegający bliźnich... I gdyby, proszę pana, chcieli wrócić ci wszyscy z zagranicy, to dziś nie znaleźlibyśmy wspólnego języka. Dzieli nas przepaść, oni nigdy by nas nie zrozumieeli, bo nie przeżyli tego, co my. Ale to wcale nie oznacza, że nasze życie jest odbiciem historii nowej, socjalistycznej Polski...

Podczas wojny przez pewien czas ukrywał się w Warszawie. Potem przeniósł się do wuja Jerzego Lubomirskiego w Rozwadowie. W pobliskim majątku Zbydniów, własności Horodnińskich, skupiało się ognisko pomocy dla partyzantów. Dwaj synowie Horodnińskiego zbiegli i zginęli, trzeci, Dominik, żyje, jest znanym publicystą. Za tę pomoc dla partyzantów Niemcy urządzili rzeź. Pląkał, zupełnie bezsilny, kiedy pod jego oknami rozstrzelano dwudziestu pięciu ludzi, w tym trzy kobiety... A jednak, jak wspomina, w przeżyciu tego najgorszego pomagala jedność polska, swoisty humor, jedyny, podtrzymujący na duchu.

Przyszło wyzwolenie. Aresztowano administrację majątku. Wuj był starcem, trzeba było mu zapalać fajkę, pomagać w wykonywaniu najprostszych czynności.

Pani Małgorzata Szejnert napisała w „Polityce”, że przed wojną Polska była krajem rządzonym przez książąt i hrabiów. Hubert Lubomirski powiedział:

— Być może spotkał pan człowieka myślącego odmiennie. Powiem więc, że myślny byli tym, czym dla dzisiejszej Anglii jest kró-

lowa. Odchodzącym symbolem dawnej Polski. Powiem więcej: jako człowiek trzeźwo myślący, nie byłem przecież szczeniakiem, i znając choćby historię Rzymu, wiedziałem, że prawa historii są nieublagane, niezmiennie. Czegoż tu żałować? Wszystko się rozpadło, to był proces mający początek już po powstaniu styczniowym. Gdyby nawet ojciec zostawił mi zadłużony majątek, na którego podreperowanie należało zaciągnąć pożyczki za granicą, bo kraj był biedny, nigdy nie udało by mi się wypłacić z dywidend...

Matka, Teresa Lubomirska, pracująca jako robotnica w zakładach jedwabniczych w Milanówku, wciągnęła go do pracy. Łamał się, trudno mu było otrząsnąć się z przeżyc.

— Gdyby pan mógł porozmawiać z moją matką — mówi — dowiedziałby się pan bardziej interesujących rzeczy. Ona mieszka w Warszawie, na Chłodnej 15, jest bardzo stara, porusza się o kulach.

— Odwiedza pan rodzinną?

— Tak, staram się to robić przynajmniej raz do roku. Wtedy mogę wykapać się w „kulturze”. Ale tylko w zimie, kiedy nie ma roboty w gospodarstwie.

Pytam, dlaczego skazał się na odludzie.

— Pan pewnie wciąż myśli o tym megalomanie? Dla mnie to prosta historia. Zresztą — macha ręką — to moje drugie małżeństwo...

O pierwszym, tym niby bez „mezalianu”, nie chce mówić. A żona Małgorzata? To dobra i poczciwa kobieta. Jej ojciec, noszący nie-mieckie nazwisko, był właścicielem farmy na Pomorzcu. Córka podczas okupacji nosiła literę „P”, bo urodziła się w Polsce i czuła się Polką. Po wyzwoleniu przeżyła szok, skacząc z drugiego piętra... Wziął z nią ślub cywilny, urodziła mu dwoje dzieci. Do dziś jest bardzo nerwowa, ale lepszego przyjaciela w życiu nie znalazłby...

Hubert Lubomirski wiedział, jak odejść z gasnącego światła. Dzięki pomocy Marii Szamowskiej ze Zdun, notabene gromadzącej materiał o twórczości Karola Szymanowskiego, przed kilkunastu laty osiadł w Mniszkach. Był to dawny, o powierzchni 150 ha, majątek Zawadzkiego. Rozparcelowano go, powstała nowa wieś, zasiedlona przez byłych fernali. Przyjęto go serdecznie, do dziś, jak mówił, nie przekonać, wszyscy go szanują. Wziął z PFZ 14 ha w dzierżawę, ale ze względu na wysokie podatki i obowiązkowe dostawy, zrezygnował z większej części, pozostawiając sobie 5,5 ha. Przy okazji odebrano mu również stawy.

— Na ogół niebezpieczne jest przetrzucanie ludzi z jednego środowiska w drugie — powiedział. — Dla mnie okazało się to najlepszym wyjściem. Czy księciu spadła korona z głowy — śmieje się — dlatego, że sieje żyto, sadi ziemniaki i kapustę? Przecież ja nie wytrzymałbym w mieście, potrzebuję ciszy, spokoju...

Ma dwie matyry i dwa lata Akademii Handlowej. Wszyscy się dziwią, że nadal włada trzema językami, choć nie ma z nimi styczności. I jak w ogóle spędza czas w tej głuszcy? To

proste: podczas pracy w nocy (jako dozorca) czyta książki i czasopisma, w niedzielę grywa w brydża, słucha audycji radiowych w obcych językach.

— Małgorzata Szejnert napisała, że pan schłopiał i żyje w biedzie...

— Żyję jak inni! Czy może pan jednak stwierdzić, że schłopiałem albo też schłopiałem? Proszę pana, kultury, sposobu bycia nikt człowiekowi nie odbierze...

Powiedział, że jak inni pozostał w kraju, aby nie zamykać biegu historii. Z tym bym się nie zgodził. Wierzę natomiast, że jest człowiekiem silnym. Ma 58 lat, trzy lata temu przeżył zawal, a mimo to:

— Nigdy nie należy się poddawać. Pracuję ciężko, dużo palę, a gdy się zdenerwuję, rzucam wędkę i wszystko mijam... Martwią mnie dzieci, bo nie chcą się, psiakrew, uczyć! Córka wprawdzie zdobywa kwalifikacje, ale syn obija się koło domu...

Wchodzimy w podwórze. Ładna, dobrze zbudowana dziewczyna, ciągnie na „kulce” wiadra wody, pochylona nad zapadłą w ziemię cembrowiną. Z głębi zabudowań dochodzi ryk krów.

— Dobrze ojciec hoduje córki? — śmieje się Lubomirski.

Irena zdobywa na kursje zawod krawcowej. Mówi, że dość się tu namęczyła i że pragnie pójść do miasta.

— Jak to dzisiejsza młodzież — wzdycha Lubomirski. — Wyda się za męża i odejdzie...

— To szczykuje się wesele? — Ano, kręcą się koło niej jakieś anioły stróż!

Odechodzimy. Hubert Lubomirski mówi z zażenowaniem, że niczym mnie nie porządkował, więc może by chociaż mleka... Odpowiadam, że jestem abstynentem i mleko mi szkodzi.

Pokazuje mi zasadzone przez siebie drzewka, jaśminowy żywopłot; opowiada, jak z pomocą przycho-dziła mu dawna GRN w Leźnicy i że bezpłatnie założono mu światło.

Jest bardzo ciepło, słychać kumkanie żab plażujących w przydrożnym bloku; kobiety pracownie przebiegają ziemniaki w kopcach.

— Niedługo zakwitną kasztań — zauważa pan Hubert — a to znak, że ziemniaki powinny już być w ziemi. No i bez pęcznienia, na Zofii chyba zakwitnie...

Odprowadził mnie aż do przystanku.

— Gdybym nie zechciał z panem rozmawiać — mówi na zakończenie — napisałby pan, że jestem gbur, niegodny nazwiska, które noszę. Ale ja nigdy nie byłem nadętą złośliwością i pychą puchawką...

Sciskam jego dłoń. Jest pełna odcisków, ze startym od pracy naskórkiem.

— Niech pan wpadnie kiedyś na ryby — dodaje na pożegnanie. — Tu się jeszcze trzymają ładne liny i szczupaki...

RYSZARD BINKOWSKI

ANDRZEJ GRUN: dokończenie ze str. 3

magnetofonowej taśmy. Nie cieszy mnie stołce, kiedy wychodzę z wystawy w Parku Sienkiewicza, bo między mną a stołcem jest stażająca się z każdym dniem warstwa pyłów, gazów i spalin pożerająca jego promienie. Optyzmizm łatwy do szkodliwej optymyzmu naiwnych. A optymizm trudny wymaga świadomości głębokiej i twórczej.

Łódzkie środowisko plastyczne zdobyło się na ogromny wysiłek organizujący I Triennale Malarstwa i Grafiki. Uważam, że organizacja takiej imprezy pod hasłami: Nasz Czas — Metafora — Tendencje, właśnie w Łodzi ma głębokie znaczenie symbolu. Pomiędzy tu milczeniem niedociągnięcia organizacyjne i różne potknięcia — o tych sprawach należy rozmawiać z konkretnymi władzami i czynnikami, a o przyczynach

tychże potknięć i niedomogów organizacyjnych pisano na łamach prasy nie raz i nie dwa razy. Pewnie, że może kogoś „z zewnątrz” na przykład z Warszawy dziwić, że w Łodzi nie ma galerii i że Triennale rozrzucone jest po całym mieście. Nas, tubylców to już nie dziwi. Martwi może, ale nie dziwi. Triennale jest imprezą znaczącą w skali kraju, a powtarzam — to że dzieje się w Łodzi i pod takimi własnymi hasłami, przydaje jej specjalnej wagi.

Życzyć należy, aby okna otwarte przez Triennale Tkaniny i Triennale Malarstwa i Grafiki nie zostały czasem przez czyjąś „nieuwagę” lub nadgorliwość zamknięte na powrót. Jest wielu takich, co boją się przeciagów i którym wystarcza radosny świergot ptasząt i słonczko zza chmurki.

## SOBOTNIE POPOŁUDNIE

— Halo!  
— Słucham?  
— 294-374?  
— Nie. Pomyłka.  
— Przepraszam.  
— Halo! 294-374?  
— Pomyłka.  
— Znowu? Bardzo przepraszam.  
— Halo!  
— Znowu ja.  
— Zdaje się, że telefon jest uszkodzony, zawsze wybiera pański numer. Proszę się na mnie nie gniewać.  
— Ależ nie!  
— Jeszcze raz spróbuję. Jeśli znów u pana zadzwoni, proszę nie podnosić słuchawki, dobrze?  
— Dobrze.  
— Halo!  
— Słucham?  
— Jednak odebrał pan telefon?  
— Tak. Panią oczywiście kosztuje to jeden forint.  
— To niewiele. Już więcej nie zadzwonię.  
— Może pani. Jeżeli znów zadzwoni, nie podniosę słuchawki.  
— Halo!  
— Podniosłem. Myślę, że dobrze. Czekalem, aż zadzwoni dziewczęcie razy.  
— Dlaczego?  
— Ta rozmowa jest dla pani bardzo ważna, skoro pani jest taka wytrwała. Gdybym nie podniosł słuchawki, mogłaby pani pomyśleć, że centrala połączyła właściwy numer, ale kogoś nie ma w domu. Mam rację?  
— Tak.  
— Wobec tego niech pani próbuje, ile razy zechce, jeżeli pani nie szkoda pieniędzy. Będę odbierał telefon... dla pani spokoju.  
— Mojego spokoju?  
— Tak. Tak powiedziałem. Upewni się pani, że telefon dzwoni u mnie.  
— Tak, oczywiście... Dziękuję.  
— Wobec tego proszę dalej.  
— Dobrze. Spróbuję.  
— Halo!  
— Słucham?  
— Teraz dzwonił dwanaście razy.  
— Tak. W międzyczasie ktoś pukał do drzwi. Spróbuję pani jeszcze?  
— Nie!... On już godzinę wcześniej miał do mnie dzwonić. Umówiliśmy się. Czy pana bawią telefony?  
— Jestem sam.  
— Dlaczego pan gdzieś nie pójdzie? Sobota, wspaniała pogoda...  
— Jestem chory. Leżę.  
— Co panu jest?  
— Nie mogę chodzić.  
— Dawno?  
— Cztery lata.  
— I długo jeszcze?  
— Długo.  
— Powiedział pan, że ktoś dzwonił do mieszkania — mógł pan podejść do drzwi?  
— Zawołałem: „kto tam”? Syn dozorcey przyszedł po gazetę. Drzwi są otwarte.  
— Sam pan mieszka?  
— Nie. Z żoną, z synem i z córką.  
— I nikogo nie ma w domu?  
— Syn poszedł na mecz, a żona z córką na plażę.  
— I zostawił pana samego?  
— Jest sobota, wspaniała pogoda. Nie mogę wymagać od nich, żeby siedzieli w domu...  
— Jednak...  
— Chciał, żeby ktoś został ze mną, nie zgodziłem się. Ciągle myślałbym, że na pewno lepiej czułyby się na plaży.  
— Jeżeli człowiek kogoś kocha, to najlepiej się czuje z...  
— W starym małżeństwie bywają przerwy — jak urlop...

— A córka?  
— W przywiązaniu dziecka też. Ma siedemnaście lat. A pani czemu nie wychodzi? Z powodu telefonu?  
— Nie! Nie dlatego. Po prostu nie lubię lazić sama.  
— Niech pani spróbuje znowu zadzwonić.  
— ... Nie.  
— Zostanie pani w domu? Co pani będzie robiła?  
— Czytam. Podobno w telewizji jest dobry program.  
— A jeżeli dzwoni teraz, w czasie naszej rozmowy?  
— Nie. Już nie wierzę, że zadzwoni... Jednak — może?  
— Skończmy rozmowę, dobrze?  
— Dziękuję za cierpliwość.  
— Jednak niech pani spróbuje jeszcze raz.  
— Nie!

— Halo!  
— To ja. Trochę czekałem.  
— Wstydzę się. Przrzekłam, że więcej już nie będę, ale po pięciu minutach już nie mogłam wytrzymać.  
— Myślałam, że pani zrezygnowała, albo dostała właściwy numer. Nigdy nie dowiedziałabym się, co się stało.  
— Co pan o mnie myśli? Zabujala się frajerka?  
— ... Na pewno bardzo kocha.  
— Tak. Wstydzę się.  
— Czemu?  
— Bo z niego taki bydlak!  
— Dlaczego pani tak mówi?  
— Bo jest taki! Wysoki — sto osiemdziesiąt centymetrów, muskularny, wysportowany i nigdy w życiu nie przeczytał żadnej książki. I ja... i mnie... potrzebny!  
— Teraz pani tylko tak mówi — dlatego...  
— Zawsze wiedziałam. Jak tylko się poznaliśmy, ale nie mogłam uwolnić się od niego, a potem nawet już nie chciałam. Kochał mnie... Telefonował codziennie po pięć razy.  
— Może jest w takim miejscu, gdzie nie ma telefonu.  
— Wiem, że koniec. I straszne, że mnie tak na nim zależy. Upokarzam się. Tylko dlatego mówię panu wszystko, żeby uzmysłowił sobie, w co się wpakowałam. Mogę mówić szczerze komuś obcemu, a własnej matce wstydziłabym się. Przyszło mi do głowy, że... że może właśnie teraz dzwoni, kiedy ja rozmawiam z panem.  
— Odłożę słuchawkę.  
— Dziękuję i proszę się nie gniewać.

— Halo!  
— Czekala pani dziesięć minut.  
— Postanowiłam — wypała trzy papierosy i spróbuję. Pierwszego wypaliłam normalnie, przy oknie, skąd widzę przystanek autobusowy. Zawsze przyjeżdżał autobusem „33”. Drugiego papierosa paliłam bez przerwy, a trzeciego, nie mogłam dokończyć. Przedtem kłamałam pana.  
— Kiedy?  
— Kiedy mówiłam, że zostanę w domu, bo nie lubię lazić sama. Uwielbiam! Na Wyspę Małgorzaty, na Górę Trzech Granic. Nawet do kina pójdę sama... Teraz nie nie lubię sama, nawet żyć.  
— Niech pani tak nie mówi.  
— To też nieprawda, że będę czytała. Telewizora też nie włączę. Nic nie będę robić. Oszałam od tego hałasu! Gdzieś pukała, ile ciężarówek jest w Budapeszcie, wszystkie jeżdżą naszą ulicą...  
— Lubię hałas... Hałasem świat daje mi znak... Pół do piątej, rano, wyjeżdża pierwszy tramwaj, o jedenastej ostatni. Handlarz starzyzna krzyczy między ósmą, a dziewiątą. Kiedy sprzedają ziemię do kwiatów, wtedy jest wiosna.  
— Naturalnie, u pana jest inaczej. Jakże długie może być popołudnie! Kiedy będzie już poniedziałek?  
— Długo. O wiele dłużej od soboty po południu do poniedziałku — aniżeli od poniedziałku do soboty. Od poniedziałku zawsze znam program. Wiem, kto kiedy wychodzi, kiedy wraca. W sobotę nie nie wiem. Ani w niedzielę.  
— Oby nigdy nie było soboty i niedziel. Ani świąt. Dni wolnych od pracy. Jeżeli człowiek pracuje, wtedy koncen-

II nagroda na VIII Festiwalu Poezji

## Szpital nocą

Szpital nocą jest księżycem  
wszelkich noczy:  
świeci daleko od ziemskich spraw,  
nim się przepadnie  
za ich horyzontem.

W szpitalach, nocą  
chorzy  
pełni księżycowego blasku,  
który syczy się z nich  
wraz z innymi ludzkimi sokami,  
nasłuchują  
jak w ciałach ich wołają  
duchy.  
rzęczy,  
zwierząt i  
roślin.

O, jakże potężna ciżba  
czeka na nas  
pod glebą,  
skoro będzie musiała sprosić  
kaszlem i jękem, westchnieniom  
i bezsennościom tych noczy,  
kosmicznych  
gdy szpitale krążą nad  
miastem.

Krążą  
jeśli nie jest to miasto  
wymarłe i wciąż  
cierpienie tworzy jego więź  
ciżnię.

truje się, przynajmniej praca przykuwa uwagę. Ale teraz? Na co mam uważać? Żeby kawa nie wykpiła? To jest druga z kolei samotna sobota.  
— I już pani taka zrozpaczona?  
— Już zawsze będę sama.  
— Teraz pani tak myśli...  
— W tamtą sobotę powiedział, że krewni ze wsi przyjeżdżają, ale w niedzielę będziemy razem. W niedzielę dzwonił, że krewni jeszcze zostali. Oczywiście kłamał. Dziś już nawet nie kłamię. Nie zadzwoni. Dlatego mówię, że już...  
— Niech pan zadzwoni jeszcze raz.  
— Nie! Nigdy!  
— Proszę.  
— Zadzwoń.  
— Po dziesięciu dzwonekach podniosę słuchawkę.  
— Dziękuję.  
— A jeżeli dostanie pani właściwy numer... Życzę wszystkiego najlepszego.  
— Dziękuję. Ja też...

Przełożył: LASZLO RAKITAI



MICHAŁ DALECKI

LEGENDA  
Z DYMU

Twarz miasta — dymy lepiące w kwiaty,  
anioły pulchne drzemią na gzymsach  
w sztucznych marmurach dawny szyk  
gołębi sejm na starym rynku.

Legenda miasta — czas, dym i krew  
bruk ciężki nogom od niedospania  
nie spacer rauny tłumne dreptanie  
z jazgotu maszyn serca rytm.

Kształt historii jak przędzę trzeba znać,  
w mury tkają na ciepło i dostatek  
nie gołębie malowane w perkalu  
przedzą na jutro nową baśń.

Bukiety dymów nad kominami,  
gdzie stary rynek — gołębi sejm —  
inne gołębie i inne wokół miasto  
nad jasnym placem tańczy wczesny maj.

STANISŁAW  
CIEŚLAKNOMADA  
WSPÓŁ-  
CZESNY

Na łakach z betonu, pastwiskach z asfaltu  
sprawiam swój trud codzienny — nomada  
współczesny.

Koczuję bez wytchnienia i zapędzam stada  
oksydowanych maszyn za fabryczne mury.  
Tam śpiewam z nimi psalmy chromu i plastiku,  
tam przez trzy zmiany wiedę w łoskocie silników  
głęboko, dopóki dzień jest i dopóki wieczór  
o wydajnych pastwiskach i nowej naturze.  
Później stamtąd uciekam i w kamiennym mieście,  
zanim nerwowo przetnę czas spocyny z czoła,  
nim turban spalin zrzuć z głowy skołataną,  
uganiam się za cieniem pośrodku południa  
i nasłuchuję świerszcza w strzyżonym trawniku.  
Przepraszuję wreszcie biodra mocą maszyn  
i koczuję na nowo od ziemi do nieba,  
gonię po kontynentach, niesyt ich harmonii  
jestem gotów do skoku już na gwiazdne szlaki.  
Chociaż lubię te stada, plastik, stylon, nikle,  
te pośpieszne miłości oprawiane w gumę,  
marzę tylko, by dopaść mój cień utracony  
i słyszeć w szumie trzciny nad brzegiem jeziora  
krople mgły, gdy nasycy spokój horyzontu  
lub niebieski śpiew skrzydeł pańskiego anioła.

JAN  
JUSZCZYK

## WIATRAK

... więc jeszcze stoł pośród krajobrazu  
z kołpakiem dachu na drewnianej głowie,  
z szypułką skrzydeł — tak je czas wystrząpił —

niemy kateka z kamieni i belek  
z ostrogą wiatrów w boku, w zdartym płaszczu  
chmur zgrzebnych na tarczy dobrej pamięci.

Daleki wiatrak mojego dzieciństwa  
odchodzi. Drogę mu zabieć, za późno,  
nowy wiatr niech przywieje swoje sprawy.

Publikujemy wiersze członków Okręgowego Klubu Literackiego (ZLP) w Łodzi.

Do Klubu tego należą również:

Maria Czarnocka, Grzegorz Dłubak, Witold Kowalski,  
Władysław Pawłowicz, Wojciech Rogowski, Janina Sypniewska, Maria Szernier i Jan Wróbel.



# ŚMIERĆ „NIEUCHWYTNEGO SMITHA”

Jest na świecie wiele spraw i zdarzeń do tej pory niewyjaśnionych. Swoje tajemnice ma również druga wojna światowa. Być może po latach, po dalszym udostępnianiu dokumentów spoczywających jeszcze w archiwach, niektóre z tych tajemnic znajdą proste wyjaśnienia, ale też część z nich pozostanie nadal niewyjaśniona.

Wśród wielu tajemnic drugiej wojny światowej są dwie dotyczące zaginięcia dwu artystów: aktora **LESLIE HOWARDA** i muzyka, kierownika i dyrygenta orkiestry **GLENN MILLERA**.

Może to wydać się dziwne, że w tajemniczych okolicznościach zginęli właśnie artyści. Wystarczy jednak obejrzeć ówczesne filmy wojenne, posłuchać nagrań orkiestry Glenna Millera, przeczytać listy amerykańskich żołnierzy pisanych do jej kierownika, aby zrozumieć czym dla wojska i społeczeństwa była działalność artystyczna w tych czasach.

W filmach angielskich, radzieckich, czy amerykańskich tego okresu chodzą przede wszystkim o pokazanie bohaterstwa własnych żołnierzy, ofiarności ludzi pracujących na froncie, a jednocześnie pokazanie przeciwnika bez miłoty, bez grozy. Nie przypadkiem wiele z tych filmów było komediama ośmieszającymi hitlerowców, ale były i takie, w których wróg — straszny i groźny — okazywał się jednak nie pozbawiony człowieczeństwa: żołnierze ginęli od kuli, można ich było oszukać, wyprowadzić w pole, pokonywać. Jednym z takich filmów był „Nieuchwytny Smith”, w którym Leslie Howard grał profesora archeologii, porywanego hitlerowcom ofiary ich terroru.

## LIZBONA — BRISTOL

W 1940 roku kapitan K. D. Parmentier wystartował z lotniska Schiphol w Holandii, aby tuż przed wtroczeniem wojsk niemieckich wywieźć do Anglii holenderskich dygnitarzy. Do Anglii uciekło wtedy wielu pilotów Królewskich Holenderskich Sił Lotniczych — znanych na całym

świecie pod skrót KLM — tak, że linie te mogły na czas wojny utworzyć regularną komunikację między Lizboną w neutralnej Portugalii a pewnym lotniskiem w Wielkiej Brytanii. To pewne lotnisko znajdowało się pod Bristolem.

Strony wojujące bardzo chętnie utrzymują kilka krajów neutralnych, stwarzając sobie tym możliwość ewentualnych kontaktów, a także lokując tam silne siatki swoich wywiadowców. Taką rolę w drugiej wojnie światowej spełniała między innymi i Lizbona.

W chwili wybuchu drugiej wojny światowej Leslie Howard przebywał i pracował w Hollywood. Wrócił jednak do kraju, aby swoimi umiejętnościami i talentem służyć walczącej Anglii. Zagrał w filmie „Nieuchwytny Smith”, którym napsuł wiele krwi hitlerowcom. Przygotowywał się do innych filmów, a między nimi do filmu pt. „Lampa pali się jeszcze”. Na propozycję British Council wybrał się w podróż po Półwyspie Iberyjskim, gdzie spotykał się nie tylko z obywatelami brytyjskimi, ale m. in. prezytował portugalskiej publiczności swój film „Nieuchwytny Smith”. Film ten został uznany przez portugalską publiczność za najlepszy film 1943 roku.

## POD ŚCISŁYM NADZOREM

Hitlerowcom nie podobały się portugalskie sukcesy Leslie Howarda. Poddano go ścisłemu nadzorowi. Przez cały czas kręcił się koło nie-

go agend hitlerowskiego wywiadu. Jeszcze w Madrycie Leslie Howard zaprzyjaźnił się z kobietą, która okazała się być szczególnie niebezpiecznym agentem niemieckiego wywiadu.

Howardowi w jego podróży po Hiszpanii i Portugalii towarzyszył hollywoodzki aktor, przyjaciel Leslie Howarda i jego doradca finansowy — Alfred Chenhalls. Był on podobny z sylwetki do Winstona Churchilla, palił też cygara jak ówczesny premier Anglii. Ten fakt posłużył niektórym, a w tym i samemu Winstonowi Churchillowi do stworzenia hipotezy, że to wywiad niemiecki połował na niego, a ofiarą padł Leslie Howard.

We wspomnieniach swoich angielski premier napisał: „Ponieważ moja obecność w Afryce została podana do publicznej wiadomości przez prasę, Niemcy wznowili czujność, co doprowadziło do tragedii, która bardzo mnie zasmuciła. Pasażerski samolot regularnej linii lotniczej miał za chwilę wystartować z Lizbony, gdy nagle na lotnisku pojawił się barczysty mężczyzna z cygarem w ustach i oświadczył, że ma zarezerwowane w nim miejsce. Niemiecy agenci zasygnalizowali więc, że lecę tym samolotem”.

Leslie Howard nie ukrywał, że odlatał do Anglii i czerwca 1943 roku rannym samolotem. Mówił to do swego przyjaciela Alfreda Chenhallsa, a slyszało to mnóstwo niemieckich agentów, gdyż Howard oświadczył to publicznie w barze jednej z lizbońskich hotelowych restauracji. Nawet filmowy dyrektor British Council — Neville Kaerney zganił go za to, gdyż wypowiedział tę slyszała również pewna Węgierka, o której powszechnie było wiadomo, że jest agentem niemieckiego wywiadu. Słyszał to inni. Będąc pod nadzorem wywiadu Leslie Howard nie mógłby jednak ukryć daty i godziny swego odlotu.

## WIELEBNY HOLMES

Tym samym samolotem co Leslie Howard miał lecieć do Anglii wielceby Arthur S. Holmes, wiceprzewodniczący Angielskiego College'u w Lizbonie. Wczesnym rankiem, kiedy znalazł się w swoim gabinecie, zadzwonił telefon. Telefonował ktoś z KLM, proponując księdzu odlot późniejszym samolotem i tłumacząc, że rannym odlataje Leslie Howard i cztery towarzyszące mu osoby. Mimo to ksiądz Arthur Holmes zjawił się na lotnisku w Porteli i okazało się, że pracownicy KLM pokonały wszelkie trudności i jest miejsce dla księdza. Kiedy już siedział wygodnie w samolotowym fotelu, przyszedł goniec z biura KLM i powiadomił wielcebygo Arthura Holmesa, że w bardzo pilnej i niezwykłej sprawie wzywa go do College'u. Ksiądz opuścił samolot.

Był to przypadek, czy też ktoś życzliwy, ktoś kto znalazł samolot, chciał mu uratować życie?

Leslie Howardowi towarzyszył bowiem tylko Alfred Chenhalls, a po długich studiach nad listą pasażerów Ralph Barker — autor wydanej u nas książki pt. „Tajemnicze katastrofy” — dośzedł do wniosku, że dwoma dalszymi osobami mogli być urzędnicy Foreign Office i Ministerstwa Kolonii — Gordon Maclean i Berthold Israel.

## OSIEM JUNKERSÓW Z BORDEAUX

Kapitan K. D. Parmentier po ucieczce z Holandii nadal pracował w KLM i latał między Lizboną, a pewnym lotniskiem w Wielkiej Brytanii, o którym wszyscy wiedzieli, że znajduje się pod Bristolem. Sześć tygodni wcześniej leciał z Lizbony do Anglii. Był on znakomitym pilotem, toteż kiedy pilotowany przez niego pasażerski



Leslie Howard w przeddzień swego ostatniego lotu.

samolot typu Dakota zaatakował sześć Junkersów 88, mistrzowskim manewrem uchylił samolot w chmurach i w ten sposób uratował życie pasażerów.

Jeszcze wcześniej, bo w listopadzie 1942 roku pojedynczy samolot Luftwaffe zaatakował Dakotę, akurat tę samą, która i czerwca 1943 roku wystartowała o 9,30 z lotniska Porteli pod Lizboną. Pilotował ją kapitan Quirinas Tepas, Dakotę oznaczoną G — AGBB prowadził według instrumentów, przebijając się przez gęste chmury. Nad Zatoką Biskajską obowiązywała cisza radiowa.

W pół godziny po starcie Dakoty G — AGBB z lotniska w Bordeaux poderwało się do bojowego lotu sześć Jun-

kersów 88. Około godz. 13 Junkersy zaatakowały samolot pasażerski. Radiotelegrafista Van Grugge naruszył zakaz o ciszy radiowej i powiadomił świat o zbrodniczym ataku. Jego głos usłyszano w Lizbonie. Niemiecy piloci, po powrocie do bazy stwierdzili w raporcie, że od samolotu oderwały się cztery postacie mężczyzn. Tylko dwóm prawidłowo otworzyły się spadochrony. Jeden z nich natychmiast zajął się płomieniami.

Niemiecka propaganda tłumaczyła, że Dakota była pomalowana na kolor ochronny i została zaatakowana w strefie działania lotnictwa brytyjskiego, a część rozbitków uratował hiszpański statek handlowy. W obu przypadkach było to kłamstwo.

Winston Churchill w swoich wspomnieniach tak jeszcze skomentował ten wypadek:

„Trudno sobie wyobrazić, aby ktoś mógł uwierzyć, że mając do dyspozycji całą flotę powietrzną Wielkiej Brytanii zdecydowałem się lecieć z Lizbony nieuzbrojonym i nie eskortowanym samolotem, w dodatku w biały dzień”.

Jaki więc był istotny powód tego morderczego ataku?

Zdaniem Ralpha Barkera, aktor Leslie Howard obok misji propagandowej pełnił też na Półwyspie Iberyjskim misję wywiadowczą. Natomiast Neville Kaerney twierdził, że rozkaz zestrzelenia samolotu, w którym leciał Leslie Howard wydał sam... Geobels, który nie mógł ścierpieć propagandowych sukcesów Howarda i który pamiętał, że pewna słuźna Niemka bardziej wołała szczupłego Leslie Howarda od kuternogi Geobelsa.

Jedno jest tylko pewne, kiedy wielceby Arthur Holmes przyjechał do Angielskiego College'a w Lizbonie, nikt nie wiedział o wzywającym go do powrotu telefonie.

KRZYSZTOF PORĘBSKI

## ŚCISLE TAJNE [3]

# „Ziemia Abramsa”

Dzisiaj zamieszczamy ostatni odcinek wywiadu redakcji tygodnika amerykańskiego z byłym pracownikiem amerykańskiej agencji do spraw bezpieczeństwa.

— Mówił pan, że często wysyłaliście komunikaty wprost do Białego Domu.

— Tak. Ale materiał tam wysyłany opracowywane w taki sposób, żeby nie zawierał żadnych sugestii, wskazujących na źródło jego pochodzenia. Rano każdego dnia prezydent otrzymuje zestaw informacji, sporządzonych przez CIA. Zawiera on bardzo dużą ilość danych z AAS, ale nazwy agencji nie wymienia się.

— Co pan może powiedzieć o nasłuchu rozmów, prowadzonych przez naziemne środki łączności?

— Nie mam pełnego rozeznanania w tej sprawie, ale wiem, że wszystkie rozmowy telefoniczne, prowadzone ze Stanami Zjednoczonymi przez kabel transatlantyczny, czy biegnące przez Ocean Spokojny, są podsłuchiwane.

Każda rozmowa — prywatna, handlowa, czy w ogóle jakakolwiek inna, jest odbierana i zapisywana na taśmie magnetycznej. Większość z zapisanych rozmów nikt nigdy nie przesłuchuje. Co pewien czas przeprowadza się sprawdzanie wszystkich taśm i wówczas niektóre spośród nich przesłuchuje się na wyrwki, kontrolując, czy nie zawierają czegoś, co przedstawia wartość dla

rządu i zasługuje na uwagę. Ponadto rozmowy prowadzone z określonych telefonów podsłuchuje się stale. Dotyczy to ludzi, którzy bardzo często rozmawiają z zagranicą, lub wzbudzają szczególne zainteresowanie z innych powodów...

— Co może pan powiedzieć o Afryce? Czy są tam stacje agencji?

— Tak.

— Czy zbierają one informacje wywiadowcze o powstańcach afrykańskich?

— Istnieją tak zwane sekcje bezpośredniego wsparcia, działające przeciwko Mozambikowi i Angoli. Sekcje są rozlokowane na statkach, kursujących wzdłuż wybrzeża. Przechwytyują one wiadomości tutejszych portugalskich jednostek wojskowych, jak również sił Ruchu Wyzwolenia.

— Czy zdobyte tą drogą informacje wykorzystuje się w jakiś sposób przeciwko partyzantom?

— Dokładnie nie wiem. Ale byłbym zdziwiony, gdyby było inaczej.

— W jaki sposób trafił pan do Wietnamu?

— Nie byłem zwolennikiem wojny w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale też i nie byłem jej przeciwnikiem.

— Zgłosił się pan na ochotnika?

— Tak. I do Wietnamu i do lotnictwa. Ale załatwiono mnie odmownie i tu i tam.

— Dlaczego?

— Z powodu ściśle tajnego charakteru mojej poprzedniej pracy. Mogłem się dostać do niewoli. A przecież wiedziałem bardzo dużo. Musiałem uruchomić moje kontakty. Miałem przyjaciół na wysokich stanowiskach. Koniec końców wywalczyłem sobie zezwolenie na wyjazd do Wietnamu. Jednakże z początku skierowano mnie na przeszkolenie do USA.

— Na jakie przeszkolenie?

— Odbywało się ono w Teksasie, w pobliżu Brownsville. Poznałem tam z grubsza język wietnamski, natomiast bardzo szczegółowo przestudowałem system lotniczego wykrywania kierunku fal radiowych. Musiałem wznosić się w powietrze na gigantycznym ES-47, nazywano te samoloty powietrznymi platformami, w poszukiwaniu oddziałów piechoty przeciwnika. Po zakończeniu przeszkolenia wysłano mnie do Wietnamu.

— Jak długo przebywał pan w Wietnamie?

— Trzyście miesięcy, od 1968 roku do 1969.

— Gdzie pan służył?

— W Pleiku.

— Tam znajduje się centrum wywiadu?

— Nie. Jeden pododdział rozlokowano w Da-nang. Ale centrala znajdowała się w Fu-bai. Jest to miejsce okryte największą tajemnicą w Wietnamie. Tam była francuska baza wojskowa, położona niedaleko Hue, jest całkowicie otoczona polami minowymi. Rozlokowane tam oddziały — około dwóch tysięcy ludzi — z pewnością jako ostatnie opuszczą Wietnam. Nie wiem, czy wiadomo panu, że pierwszy amerykański żoł-

nier, który poległ w Wietnamie, został zabity właśnie w Fu-bai w 1954 roku. Służył w AAS. Mówiono nam o tym jeszcze w szkole, żeby rozbudzić w nas poczucie dumy.

— Co pan robił w Wietnamie?

— Nasze obowiązki polegały przede wszystkim, nie wdając się w fachowe określenia, na wykrywaniu kierunku rozchodzenia się fal radiowych. Istnieje do tego celu kilka rodzajów urządzeń. Prawie całą tę aparaturę montuje się na „powietrznych platformach”, o których już wspominałem. Programy wywiadowcze prowadzi się zawsze pod przeróżnymi hasłami kodowymi. Nasz nosił nazwę „Walcząca puma”. Na pokładzie samolotu znajdowało się dwóch lub trzech operatorów radiowych oraz specjalista-analitik informacji, i ja pełniłem jego obowiązki. Samolot był naszpikowany aparaturą elektroniczną, odbiornikami radiowymi oraz specjalnym urządzeniem do wykrywania kierunków fal radiowych. Kosztuje ono około czterech milionów dolarów. To niezwykle skomplikowane wyposażenie techniczne pracuje na zasadach elektronicznej techniki obliczeniowej. Cały ten sprzęt wymieniano co pięć miesięcy. Robiąc dygresję, chciałbym powiedzieć, że urządzeń tego rodzaju, łącznie z detektorami promieni podczerwonych użyto w Bolwii, poszukując górskiej kryjówki Che Guevary.

— Co należało do pańskich obowiązków?

— Wznosiliśmy się w powietrze i wykonywaliśmy loty według określonej, zamkniętej marszrut w konkretnym rejonie Wietnamu.

Główne zadanie polegało na zdobyciu tak zwanej „naziemnej” informacji. Musieliśmy wykrywać nieprzyjacielskie zgromadzenia wojskowe lub oddziały, przygotowujące się do ataku.

Nasze meldunki porównywano z danymi, które przekazywały inne „powietrzne platformy”. Wszystkie informacje koncentrowały się w Fu-bai lub w Pleiku. Tam opracowywano je na elektronicznych maszynach obliczeniowych, a później przychodziła kolej albo na B-52, albo na artylerię. Pierwsze bombardowanie, przeprowadzone na podstawie danych służby wykrywania sygnałów radiowych miało miejsce w 1968 roku. Mniej więcej dziewięć kilometrów na południe od Hue leży rejon, nad którym wykonywaliśmy nasze stałe loty. Analiza niektórych przechwyconych sygnałów radiowych świadczyła, że przeciwnik skoncentrował kilka swych formacji na bardzo małym terytorium, bo o średnicy około jednej mili. Generał Abrams wydał osobisty rozkaz przeprowadzenia najbardziej zamianowanego nalotu superfor-tec B-52, jaki kiedykolwiek miał miejsce w Wietnamie. Nalot trwał 36 godzin, zrzucono tysiące ton bomb. Rejon ten poddano totalnemu spustoszeniu, przemieniono go w pustynię. Zapach płonących ciał ludzkich był tak silny, że minęło dużo czasu, nim dowództwo amerykańskie mogło tam skierować śmigłowce, żeby określić efektywność bombardowania. Ale rzecz w tym, że nie można było odróżnić kto z zabitych był wojskowym, a kto osobą cywilną. Wydarzenie to nabrało wielkiego rozgłosu, a rejon bombardowania nazwano „Ziemią

Abramsa”. Było to jedno z owych wstrząsających wydarzeń, które wzbudziły we mnie odrzę do wojny.

— Rozczarowały pana amerykańskie działania wojenne w Wietnamie?

— Tak.

— Dlaczego?

— Gdy po raz pierwszy znalazłem się w Wietnamie, jeszcze wszyscy odnosili się do wojny z entuzjazmem. Ale, kiedy w końcu 1969 roku opuszczałem ten kraj, panował ogólny upadek ducha. Bardzo szeroko rozprzestrzeniła się marihuana. Paliliśmy ją nawet lecąc na zadania bojowe.

Z początku lubiłem moją pracę. Wydawało mi się, że ma w sobie wiele romantyki: wyjazdy do Europy, na Bliski Wschód, do Afryki, tajemniczość. Ale trafiliem do Wietnamu i moja praca przestała być „wielką grą”. Służyła zabijaniu ludzi. Ostatnie trzy miesiące pobytu w Wietnamie były dla mnie bardzo ciężkie. Nie mogłem już daleko ciągnąć, ale też nie mogłem od razu wyjść z wojska. Dlatego zacząłem się mięgać. Było to jedyne, co mogłem zrobić. Dziś żałuję, że od razu nie wyszedłem z AAS. Gdybym pozostał w Europie, być może, pracowałbym w agencji nadal. Wojna mnie zlamiała. Uciska mnie swego rodzaju brzemień i musiałem się od niego uwolnić. Dlatego zdecydowałem się na tę rozmowę z panem. Nie jestem ani sentymentalny, ani staromodny, ale powiem panu, że mam wielu przyjaciół, którzy chylą czoła przed narodem wietnamskim. Ta rozmowa wyraża też i mój hołd dla tego narodu.

Oprac.: J. CZECH

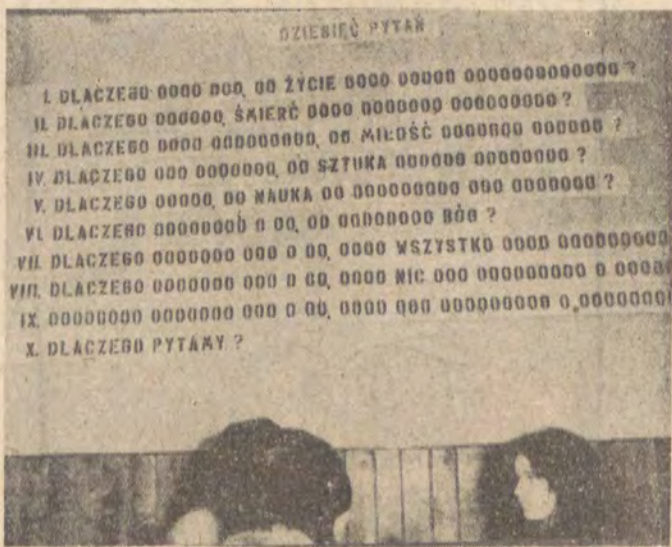


ENDRE TOT

J. CICHECKI



RAZY i URAZY



Fot. A. Tworzywicz

W działającej od pewnego czasu kameralnej galerii ADRES wystąpił ze swymi propozycjami węgierski artysta Endre Tot...

perluaru oraz z dużym poczuciem humoru i autoironii. W galerii ADRES wystąpił z „10-cioma pytaniami”...

W Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy eksponował w ramach imprezy V Łódzkiej Wiosny Artystycznej swoje grafiki Jerzy Cichecki...

ANDRZEJ GRUN



POWIĘKSZENIA

BULGARZY W OZORKOWIE

O pobycie poetów bułgarskich w Ozorkowie donosi „Ziemia Łęczycka”. W Ozorkowie bułgarskich gości przyjął kierownik Domu Kultury „Włókniarz” Henryk Ruszkowski...

Gehenna ta trwała do sierpnia 1972 r. czyli ponad 5 lat. W tym okresie czasu katowana przez pijaka kobieta wielokrotnie uciekała w nocy z domu...

20 czerwca 1972 r. Zygmunt C. znowu przyszedł do domu pijany. Ponieważ widział żonę rozmawiającą z matką rano przed domem postanowił jeszcze raz dać jej nauczkę...

meża. Kiedy małżonek dowiedział się o tym, skatował do kolumnie żonę. Schwycił ją ręką za włosy i głową bit o podłogę...

Po tym wydarzeniu Zdzisława C. straciła wzrok w lewym oku i to chyba na zawsze. Lekarze stwierdzili odwarstwienie i rozdarcie siatkówki lewego oka...

Jak Zygmunt C. tłumaczył się ze swego postępowania: „Słonec na twarzy to dlatego, że żona ma delikatne ciało i jak się raz uderzy to na całe ciało wychodzą ślonec i siniące...

Zygmunt C. wyrokiem sądu skazany został na 4 lata więzienia. Jego żona została inwalidą.

Tragedia w rodzinie C. trwała ponad 5 lat. Przez ponad 5 lat Zdzisława C. przychodziła do swojego zakładu pracy pobita, posiniaczona, wielokrotnie spędzała noce poza domem...

A więc wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt tym się nie zainteresował, nikt nie złożył cierpienia nieszczęśliwej kobiety we właściwych organach...

W większości przypadków kobiety przedkładają dobro dzieci i dobro rodziny nad własne cierpienie. Mają nadzieję, że jeszcze da się rodzinę uratować...

MIECZYSLAW STOLARSKI

Jabłka Agathy Christie

Słynna autorka powieści kryminalnych, osiemdziesięcioletnia Agata Christie robiąc ostatnio porządek domowe dokonała niezwykłego odkrycia. Oto wśród papierów sprzed wielu lat natknęła się na zapomniany przez siebie rękopis swojej sztuki pt. „Echnaton”...

nieprzerwanie od lat dwudziestu. W roku 1932 znana już wówczas autorka powieści kryminalnych obdarzyła swego wówczas 12-letniego wnuka osobliwym prezentem urodzinowym — podarowała mu wszystkie przyszłe taniemy z „Pulapkę na myszy”...

że dziecko najlepiej się wychowuje samo, oddzielone od rodziców, odrodzone od wszelkich obcych wpływów, do których należała np. książka. Toteż do dziesiątego roku życia dziewczynkę nie uczono ani czytania ani pisania...

kryminalne w niemal wszystkich powieściach Agathy Christie.

W roku 1930 pisarka wychodziła za mąż po raz drugi i tym razem jest to małżeństwo szczęśliwe. Mąż, prof. M. E. Mallovan jest z zawodu archeologiem. Z nim to pisarka wyjeżdża na Błoki Wschód, towarzysząc mu w jego ekspedycjach naukowych...

Podobno męża wybrała sobie uderzająco podobnego z wyglądu do swego bohatera, Hercule'a Poirot. Kto znał prof. Mallovan, mógł stwierdzić nie bez zdziwienia, że miał on taką samą jak Poirot lysiejacą głowę...

się do wymogów mody. Co najważniejsze, że Agatha Christie stworzyła swego bohatera znacznie wcześniej nim poznała swego drugiego męża. Poirot występuje przez tak wiele lat w jej powieściach, że aż wreszcie ktoś obliczył, że jest on już bardzo, bardzo stary...

Pisarstwo Agathy Christie początkowo charakteryzujące się jedynie zręcznością w logicznym rozplątaniu problemów kryminalistycznych i jak zawsze zaskakującą puentą, powoli pogłębiło się o doskonały rysunek psychologiczny postaci...

Agatha Christie nie lubi rozgłosu, nie lubi dziennikarskich wywiadów. Jeden z dziennikarzy przez trzydzieści lat dobijał się o wywiad z nią, nim go wreszcie uzyskał. Mimo to niektórym przedstawicielom prasy udało się otrzymać od Agathy Christie interesujące informacje...

Przebieżnie wydaje dwie powieści rocznie. Do najbardziej znanych należą poza już wymienionymi: „Błękitny express”, „Morderstwo na pebani”, „Dziesięciu Murzynów”, „Hotel na Wybrzeżu”, „Pora przyplwy”.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

# KŁOPOTY Z FESTIWALEM

Tyle było w minionych latach narzekania w prasie na festiwal w Sopocie, tyle było wokół imprezy skandalików i dwuznaczności... Jurorzy głosowali na swoje własne piosenki — dowiadywali się post factum czytelnicy gazet. A to znów zapraszano dziesiątą miernot, nie zapraszając na przykład Ewy Demarczyk... Ciągłe wokół tego festiwalu było nie tak jak trzeba — i przez pół czerwca i lipca gazety o tym pisały.

Wreszcie Ministerstwo Kultury i Sztuki zdenerwowało się tą sytuacją i postanowiło przeciąć przysłowiowy wrzód! Stało się więc!

## W TYM ROKU PUSTANO WIONO NIE DOPUSCILI DZIENNIKARZY NA FESTIWAL!

Konkretnie wygląda to tak, że akredytację może uzyskać tylko to pismo i ten dziennikarz, którzy znajdują się na specjalnej liście, sporządzonej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. „Odgłosy” nie ma na tej liście, tak więc nasi czytelnicy nie przeczytają

prawdopodobnie w tym roku raportu z festiwalu opolskiego. Ministerstwo bowiem, jak sądzi, sporządziło listę w ten sposób, aby znaleźli się na niej ci, którzy... jakby to powiedzieć — nie będą się czepić. Musieliśmy widać „podpaść” Ministerstwu w latach ubiegłych — obliczono skrupulatnie, jaki był procent pochwał, a jaki uwag krytycznych — analiza wypadła niekorzystnie...

Ta prosta, stara, choć ostatecznie zarzucona metoda, zlikwidowano problem krytycznych uwag o Festiwalu. O ile wiem, żadna łódzka gazeta nie dostąpiła łaski znalezienia się na liście „piszących dobrze o Festiwalu”.

Kiedy tak psioczyłem na to stosowanie starych chwytów, ktoś powiedział:

— Przecież nie ma problemu, festiwal i tak wszyscy obejrzimy w telewizji, więc dobry dziennikarz może swoje napisać na podstawie transmisji koncertów.

Niestety. W tym roku Ministerstwo wprowadziło dodatkową cenę innowację:

## NIE BEDZIE BEZPOŚREDNICH TRANSMISJI Z KONCERTÓW.

Tak więc piosenkarze, którzy przeszli przez eliminacyjne sito Komitetu Programowo-Artystycznego, będą mogli zaprezentować się 30-milijonowej widowni dopiero po przejściu przez drugie sito: władców telewizyjnych. Mówi się bowiem, że w telewizji pokaże się tylko wybrane fragmenty koncertów. Kryteria tego wyboru precyzowane są dość ogólnikowo. Mówi się o prezentacji „co cenniejszych” utworów. Nie trzeba dodawać, że określenie „co cenniejszych” konkretnie niewiele znaczy.

Innowacją najistotniejszą może jest zniesienie anonimowości ocen jury — głosowanie odbywać się będzie jawnie, przy pomocy tabliczek z ilością punktów — podobnie jak na zawodach tańca na lodzie. Tylko, że taka innowacja też się nie potrafiła zachwycić, ponieważ jest to po prostu likwidacja niezdrowej sytuacji, która na festiwalach opolskich gościła przez dziesięć lat. Jeśli wreszcie w jedenasty rok zdecydowano się na jawność ocen, nie widzę w tym specjalnego powodu do chwaly.

Jak widać Sopot nie boi się kłopotów związanych z dziennikarzami.

Nie mogę sobie odmówić podania ciekawostki. Pełnomocnikiem ministra do spraw festiwalu opolskiego jest naczelnik warszawskiego wydziału kultury.

Skoro już piszę o festiwalach, to także nie mogę sobie odmówić przyjemności podania innego faktu. Oto w tych dniach otrzymałem (jako sprawozdawca z lat ubiegłych) biuletyn informacyjny z Komitetu Organizacyjnego Festiwalu w Sopocie. Biuletyn podaje listę 78 polskich piosenek, zakwalifikowanych do Sopotu i na końcu stwierdza:

„Gdyby jednak zdarzyło się, że serdecznie przez nas oczekiwani tradycyjni goście ośmiokrotnego festiwalu — dziennikarze polscy, zechcieli w jak najkrótszym terminie nadesłać swoje ewentualne uzupełnienia, to solennie obiecujemy, że w trybie błyskawicznym Komitet Organizacyjny rozpatrzy je w porozumieniu z Komisją Artystyczną, dla wzbogacenia naszej piosenkarskiej oferty. Sądzymy także, że zdołamy się uporać z dodatkowymi kłopotami z tym związanymi”.

Jak widać Sopot nie boi się kłopotów związanych z dziennikarzami.



WIDOK

## LEWYM OKIEM!

# PRYZWOITE, ŁADNE WDZIAŃKO

Każdy ma jakiś tam gust własny i z najgłębszym przekonaniem i gotowością stwierdza, że ten kapelusz jest ładny, a tamten brzydki. Bardzo niechętni znają się natomiast na produkcji kapeluszy (swetrów, dywanów, butów), na kryteriach ich jakości, opłacalności, użyteczności, trwałości, na warunkach i kosztach ich wytworzenia. Dlatego też wszystkie dyskusje, konferencje, narady robocze w przemyśle i handlu bardzo szybko grawitują ku temu jednemu kryterium: ładne czy nie?

Temat ten analizuje się na setkach rozmaitych szczeblach, w najróżniejszych składkach osobowym. Żeby mówić o zaopatrzeniu — trzeba się znać na surowcach i materiałach. Żeby mówić o opłacalności — trzeba znać ekspedite specyfiki danej branży, układ kosztów, pracochłonność, ceny. Żeby mówić o ładności wyrobów gotowego — nie trzeba się znać na niczym. W sporze co do ładności nie ma racji obiektywnych, zwycięża więc zawsze racja tego, kto w danej chwili reprezentuje najwyższy hierarchicznie szczebel

śłużbowy. Skutki są opłakane, gdyż racja stanowiąca przesłankę brzemienia w konsekwencji decyzji, zmienia się pięć razy na tydzień, zmienia się w czasie, zmienia się w przestrzeni.

Najpierw artysta plastik, wyszkolony branżowo, wymyśla dla swojego macierzystego zakładu projekt, na przykład kapelusza. Z takich projektów rodzi się kolekcja wszystkich zakładów danej branży, którą ocenia ogromna komisja. Ta komisja to znów plastycy z różnych szczebli oraz multum urzędników. To jest kapitalne i pouczające widowisko: ktoś bierze w rekę kapelusz i mówi — wyrzucicie to czym prędzej. Kto inny przypomina, że ten właśnie model zyskał nagrodę w konkursie. Ktoś trzeci każe przedko wycofać z kolekcji inny model, pochwalony przez samego prezesa, potem wszyscy się kłócą, wygłaszają referaty i zatwierdzają kolekcję, składając trzydziście podpisów pod protokołem.

Potem jest giełda, a przed giełdą różne delegacje oglądają kolekcje i każda według zdania swego przywódcy coś odejmuje, coś każe dodać, czemuś się dziwi (jak mogliście coś takiego pokazać?), coś okłada anatema (żebym tego

nie widział!). Tamtych trzydziści podpisów już się nie liczy. Ale i te decyzje też się nie liczą. Bo przychodzi jakiś mocny w danej branży dyrektor i niektóre wzory dopuszcza do kontraktacji, a innych nie dopuszcza. A potem chodzą jeszcze panie z prasy i pytają, dlaczego są kapelusze takie, a nie ma innych? Czy nie mogłyby być inne? Mogłyby. Nie ma tak pięknego kapelusza, od którego nie można by wymyślić jeszcze piękniejszego. To dlaczego nie ma? Znowu nie będzie w czym chodzić?

— Dlaczego nie mogę znaleźć w żadnym sklepie ładnego, przyzwoitego wdziańka? — pyta jedna z uczestniczek konferencji, poświęconej racjonalizacji transportu pionowego. Uczestniczka nie zna się na transportie pionowym, ale niektóre wdziańka jej się podobają, a inne — nie podobają.

— A jakie to jest, to przyzwoite, ładne wdziańko? — pyta ktoś z producentów.  
— No, na przykład takie! — pokazuje pani gablotę, w której wiszą modele nie dopuszczone do kontraktacji jako zdecydowanie brzydkie.  
— Czy handel ich nie kupił?  
— Nie kupiliśmy, bo ich nie

oferowano. Przecież na pewno byśmy kupili — zapewnia dyrektor z handlu.

Dyrektor z przemysłu woła nie mówić, żeby się nie naraziło na przyszłość ocenianą przez komisję. Nigdy nikt nie dojdzie, czy w sidle pach jest to, co jest, bo tak zakupił handel, czy też — bo tak narzucił przemysł, czy może jeszcze inaczej — bo tak wypadło z kolekcji, jaką po wielu siatach, maglach, gwałtach, łamańcach ktoś uznał za jedynie możliwą. Nikt nigdy nie dojdzie, a tymczasem urzędnicy w handlu, w przemyśle, w komisjach urzędów, a urzędnicy, klęcząc się permanentnie i beznadziejnie w kategoriach „ładne — brzydkie”, I co — i tak musi być zawsze.

Bo, gdyby towary kontraktował z przemysłem kupiec nie urzędnik „pionu handlowego”, to by szukał tylko takich, co do których widać byłaby szansa sprzedaży. Kupiec o dobrym kupieckim „nosie” wybrałby towary chodliwe, myśliwy się rzadziej, jego przedsiębiorstwo by kwitło. Kupiec zły wybrałby źle i pewnie by musiał zmienić pracę. Kupiec chorobliwie ostrożny szukałby samych pewniaków, samych samograjów, nie związanych z żadnym ry-

zykiem — i oczywiście zawsze by mu zabrakło towaru. Też musiałby zmienić pracę.

Producent z kolei musiałby zaoferować takie towary, które by miały szansę zbytu ciut większe niż towary kolegi. Nie mógłby czekać na żadne rozgrzeszające komisję. Ten towar jest dobry, który na konkretnym rynku znajduje nabywcę, i już.

Tylko że najpierw musiałby być spełniony kapitalny warunek: prawdziwa, dorosła samodzielność i producentów, i kupców. Nie wyręczana żadnymi centralnymi uchwałami o tym, co ładne, co brzydkie, co dobre, co złe. Inaczej i po prostu mówiąc: konieczna jest prawdziwa, uczciwa decentralizacja gospodarowania. Zrezygnowanie ośrodków centralnych z myślenia za wszystkich i z przekonania, że kapelusze będą ładniejsze, jeśli w komisji zasiądzie jeszcze jeden bardzo wysoki urzędnik, i kiedy komisja będzie jeszcze energiczniej groźmić, prostować, premiować i karać. Czekamy niecierpliwie na taką decentralizację, choćby nie wiem jak nie podobała się ona urzędnikom.

CWIEK

## PRZECIEŻNOŚĆ

# BIBLIOTEKARZ

## KARIERA PROWOKATORA (I)

Obiecuję uroczymie, że na dłuższy czas dam pokój książce M. Malinowskiego o genezie PPR, ale tym razem muszę raz jeszcze do niej wrócić. Chodzi mi mianowicie o wątek dla rozważań autora marginesowy, tym niemniej istotny dla dziejów polskiego ruchu komunistycznego, mianowicie o dzieje bodaj największej prowokacji, jaka się w nim zdarzyła i która poważnie zaciążyła na jego losach zarówno przed wojną, jak i później. Zaczynamy jednak od innego autora.

We wspomnieniach doc. Ryszarda Przelaskowskiego, historyka i dyrektora Biblio-

teki Publicznej w Warszawie w okresie okupacji, opublikowanych w 1970 r. w wydawnictwie „Walka o dobra kultury — Warszawa 1939—1945” pojawia się zagadkowa postać niejakiego Jana Berdycha, człowieka, który został zatrudniony w bibliotece na specjalne życzenie władz niemieckich. „Formalnie jego przyjęcie do Biblioteki uległo dużej zwłoce — pisze R. Przelaskowski — gdyż z uwagi na skierowanie Berdycha do pracy przez Niemców, jak również dość tajemniczy charakter kandydata, Zarząd Miejski pozostawił sprawę jego przyjęcia do bezpośred-

niej decyzji władz okupacyjnych, która nastąpiła dopiero w piśmie z 15 maja 1941 r. (z ustaleniem zresztą daty zatrudnienia Berdycha od 16 stycznia”. Zagadkowy osobnik, któremu dano zajęcie w Dziale Bibliologii — co w praktyce oznaczało sporządzanie fiszek katalogowych — wzbudzał nieufność, ale i zaciekawienie personelu. Opowiadał o sobie, że jest dawnym komunistą, który długo przebywał w ZSRR, potem rozczarował się do ruchu i czynnie zaangażował się w jego zwalczanie. W rozmowach ujawniał swoje kontakty z tzw. Antykominternem, czym też tłumaczył swoje rzucające się w oczy kontakty z władzami niemieckimi. O tych ostatnich można było powiedzieć, że były więcej niż podejrzanymi: jeden z zaufanych bibliotekarzy powiadomił dyrektora, że widział Berdycha, jak wychodził z gmachu Gestapo.

Na zewnątrz jednak ów Berdych, używający czasem pseudonimu Kamiński, głośno deklamował swoje antynieemieckie stanowisko, zgodne z postawą pracowników Biblioteki. Co więcej, wkrótce okazało się, że miał on jakiegoś kontakt z polskimi organi-

zacjami podziemnymi. „Osobiście zaobserwowałem — pisze R. Przelaskowski — że utrzymuje on jakichś stosunki z kolejarzami, którzy go odwiedzali w Bibliotece i z których zachowania się odniosłem wrażenie, że współpracują z Berdychem na terenie konspiracyjnym”. Niejasna figura narzuconego przez okupanta pracownika budziła spreczne komentarze. Jedni sądzili, że jego antykomunizm, z którym tak się obnosził, jest zwykłą fikcją, inni uważali go za niebezpiecznego agenta Gestapo, niektórzy jednak sądzili, że jest członkiem polskiego podziemia. Dyrektor — przynajmniej we wspomnieniach — mniemał, że był to jakiś trockista, który później odgłębął się od ruchu komunistycznego. W każdym jednak razie odnosiło się doń nieufnie, chociaż nie wszyscy tak czynili, skoro J. Berdych mógł się ożenić z jedną spośród pracujących tu pań. Jej nazwisko jest podane w tekście pracy R. Przelaskowskiego.

W kilka miesięcy po tym, jak J. Berdych urządził się w Bibliotece, z polecenia władz niemieckich utworzono w niej Dział Społeczny, do którego przekazano zbiory

antykommunistycznej placówki działającej przed wojną w Warszawie o nazwie „Instytut Naukowego Badania Komünizmu”, którymi — wedle R. Przelaskowskiego — „opiekował się dotychczas Berdych w jakimś lokalu na mieście”. Oczywiście na czele nowego działu stanął nie kto inny, jak Berdych, i zaczął go rozbudowywać, między innymi wcielając doń książki komunistyczne i socjalistyczne, jakie znajdowały się w księgozbiore. Dział miał obsadę dwuosobową: Berdych uniemożliwił dyrektorowi ułożenie w nim zaufanej osoby, a przyjął pracownika do którego sam miał pełne zaufanie, swoją ówczesną szwagierką. W marcu 1942 r. zażądał przekazania sobie depozytu, złożonego w Bibliotece przez Stefanę Sempolowską, o którego istnieniu dowiedział się dzięki czyjeś niedyskrecji.

Przez jakiś czas panował względny spokój, nim wybuchła niespodziewana sensacja. Berdych uprzedził jednego z bibliotekarzy, że spodziewa się aresztowania i rzeczywiście, 17 listopada 1943 r. po obiedzie do gmachu zawitalo Gestapo. Aresztowano go w sposób tak ostentacyjny, że

wzbudziło to podejrzenia. Świadek tego wypadku pisał: „wszystko to zrobiło na mnie wrażenie umyślne, i to dość dekoracyjnego pokazania nam aresztowanego i wzbudziło przypuszczenie, że był to ukartowany w Gestapo sposób głośnego zniknięcia Berdycha z Warszawy. Przepuszczenie to zostało potwierdzone później faktem, że po upadku Powstania jedna z bibliotekarek spotkała Berdycha w Krakowie w mundurze kolejarza”.

Po spektakularnym aresztowaniu kierownika, część zbiorów Działu Społecznego została wywieziona przez Niemców, ale nie ta, na której okupantowi najbardziej zależało. Najcenniejsze zasoby ukryto, ale J. Berdych — przypuszcza R. Przelaskowski — raz jeszcze chciał położyć na nich swą łapę. 5 grudnia 1944 r. pojawił się w Bibliotece niemiecki samochód, mający wywieźć jakieś książki do Instytutu Heidricha w Pradze.

Na razie tyle, ale do końca naszej opowieści jeszcze daleko. A więc c.d.n.

LEKTOR